Nr 7. Lwów w lipcu 1897. Rok XX.



Prenumerata roczna: 5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi z początkiem każdego miesiąca.

ZJAZD ŁOWIECKI.

A więc pierwszy krok na drodze do osiągnięcia silniejszej, niż dotąd, spójni i solidarności wśród łowieckiej drużyny, stał się faktem! Zjazd nasz należy już do przeszłości. Nie imponował on światu olbrzymimi rozmiarami, ani nadzwyczajnym rozgłosem. *Principium difficile* — mówi przysłowie łacińskie — i my też musieliśmy uledz powszechnej regule, która każdej początkowej akcyi każe być zakrojoną na skromniejszą skalę. Był jakiś napółrodzinny nastrój w tym naszym pierwszym jeneralnym przeglądzie, do którego na głos pobudki stanęli łowcy z najodleglejszych okolic kraju, dumni ze sztandaru, pod jakim służą, rozkochani w tym naszym pięknym cechu, nad którym unosi się nimb tylowiekowej tradycyi naszej wspaniałej i bohaterskiej przeszłości. Rezultat pierwszego zjazdu jest dziś jeszcze raczej idealnym nabytkiem, aniżeli konkretną zdobyczą: oto poznaliśmy się, oto zrobiliśmy jeden ważny krok do zadzierzgnięcia braterskiego węzła, który — da Bóg — połączy może w przyszłości całą obszerną drużynę łowiecką w kraju dla wspólnej wymiany myśli, dla wspólnej pracy i wspólnej rozrywki. Zjazd był po zupełnej reorganizacyi Towarzystwa drugim etapem działalności Wydziału, który ma przed sobą jeszcze wiele trudności do zwalczenia, ale też wiele moralnych i materyalnych sukcesów do osiągnięcia. Początek zrobiony został pod jak najpomyślniejszemi wróżbami — nie wątpimy ani na chwilę, że przyszłość przyniesie nam same dobre owoce i podniesie to nasze Towarzystwo znowu na takie wyżyny, na jakich bez przerwy ono powinno się było znajdować! Do pracy więc, drużyno łowiecka! — nieustającej, wytrwałej, serde-

cznej, owianej zgodą, solidarnością i zapałem... W górę sztandar łowiecki!

*

Zjazd rozpoczął się nadzwyczajnem walnem zgromadzeniem członków galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, które przy dość licznym udziale członków odbyło się w sali dyrekcyi domen i lasów przy ul. Kopernika l. 20. Ponieważ prezes hr. Roman Potocki, zaproszony przez następcę tronu angielskiego księcia Walji na uroczystości jubileuszowe królowej Wiktoryi, wyjechał do Londynu, przeto obradom zgromadzenia przewodniczył wiceprezes Towarzystwa p. ordynat Tadeusz Czarkowski-Golejewski. Przewodniczący powitawszy zebranych i zagaiwszy obrady, podniósł, iż wprawdzie na porządku dziennym zgromadzenia stoją dwie sprawy: zmiana statutu i wnioski członków, lecz mowca przed przystąpieniem do obrad musi poruszyć jeszcze jedną sprawę i uczynić jeden wniosek. „Oto dziś—rzekł przewodniczący—odbywa się we Lwowie pierwszy zjazd łowiecki, zainicyowany przez Wydział galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, a obecne zgromadzenie jest pierwszym punktem jego programu. Słuszną przeto rzeczą, aby tu wspomniano o tym, który w kraju naszym znakomite zasługi położył na polu łowiectwa, stworzył organ gal. Tow. łowieckiego *Łowca*, a dziś podeszły latami, walczący z chorobą, czynnego udziału w pracach łowieckich brać nie może, zawsze jednak łączy się z nami duchem, a Towarzystwo ma w nim najszczerszego przyjaciela i gorącego protektora. Mężem tym JE. Włodzimierz hr. Dzieduszycki. Żebrana dziś na zjazd drużyna łowiecka sprawiłaby mu wielką przyjemność, gdyby zechciała dziś zwiedzić jego muzeum. Czynię przeto wniosek, abyśmy po zakończeniu obrad gromadnie udali się do muzeum im. Dzieduszyckich, zwiedzili je, a następnie złożyli hołd hr. Włodzimierzowi Dzieduszyckiemu, jako jednemu z najzasłużeńszych mężów kraju, którego wydatną i skuteczną w błogie owoce działalność widać na wszystkich polach pracy w kraju.“ Wniosek ten przyjęto oklaskami i uchwalono go jednogłośnie, poczem przystąpiono do porządku dziennego.

Pierwszym punktem była zmiana statutu gal. Tow. łowieckiego. Referentem tej sprawy był członek Wydziału Tow. dr. Henryk S z y d ł o w s k i. Zaznaczył, iż dotychczasowy statut nie odpowiadał zwrastającym co roku wymaganiom, przeto też Wydział gal. Tow. łowieckiego uchwalił przystąpić do jego zmiany i ułożyć go tak, by on dawał szerszy zakres działalności Towarzystwa i pozwalał mu skutecznie i z pożytkiem pracować nad podniesieniem łowiectwa w kraju o ile to jest możliwem w granicach nowej ustawy łowieckiej, która już uzyskała sankcyę monarszą i wkrótce stanie się obowiązującą. Wydział wypracowanie nowego statutu powierzył osobnej komisyi, która po kilku naradach ułożyła nowy jego projekt. Projekt ten referent przedkłada dziś zgromadzeniu pod obrady i uchwałę. Nad statutem wywiązała się obszerna dyskusya, w której zabierali głos pp. Kownacki, wiceprezydent kraj. dyrekcyi skarbu dr. Korytowski, prezes Tow. myśliwych im. św. Huberta Seweryn Krogulski, ks. Andrzej Lubomirski i w. i.

P. Kownacki nawiązując swe słowa do pierwszego ustępu drugiego paragrafu statutu, który opiewa, iż jednym z celów Towarzystwa jest: „popieranie władz w czuwaniu nad wykonywaniem ustaw łowieckich i w dochodzeniu przekroczeń tych ustaw“, skarżył się, iż właściwie ustęp ten powinien brzmieć, iż celem Towarzystwa powinno być występowanie przeciw władzom, które nie grzeszą wcale wielką czujnością w sprawie przestrzegania przepisów ustawy łowieckiej. Na prowincyi każdy kto chce lub nie chce przekracza ustawy łowieckie, kłusownictwo rozszerza się w niebywały sposób, a władze nie kładą temu tamy i zdają nie widzieć żadnych przekroczeń i nadużyć „Jeśli więc — rzekł mowca — gal. Tow. łowieckie wstawia w swój statut ustęp o popieraniu władz, to powinno w konsekwencyi tego i w dalszej mierze rozwinąć swą działalność w ten sposób, by miało w czem władze popierać, czyli innemi słowy powinno wywrzeć na te władze nacisk, (szczególniej przez delegatów na starostów na prowincyi), aby one w istocie przestrzegały przepisów ustawy łowieckiej i byli pomocnymi zawsze tym, którzy w sprawach łowieckich o pomoc lub opiekę do władz się udają“ (*oklaski*).

Przewodniczący ordynat C z a r k o w s k i - G o l e j e w s k i odpowiedział, iż Wydział gal. Tow. łowieckiego rozpoczął już w kierunku zaznaczonym przez p. Kownackiego swą działalność i ma niepłonną nadzieję, iż kroki jego pomyślnym uwieńczone będą skutkiem. (*Głosy:* Daj Boże!)

Projekt statutu po uchwaleniu jednej małej zmiany przyjęto na wniosek p. K o w n a c k i e g o *en bloc**).

Nastąpiły wnioski członków.

Bardzo ważną sprawę, a mianowicie sprawę rozmnoży w kraju kuropatw, poruszył w obszernem przemówieniu Leopold hr. S t a r z e ń s k i.

„Już przed rokiem — rzekł — napisałem dla *Łowca* artykuł, w którym starałem się zwrócić uwagę naszego łowieckiego świata na upadający od pewnego czasu stan kuropatw w naszym kraju. Klimatyczne różne katastrofy były tu niezawodnie najważniejszym czynnikiem. Zimy ostre, zawieje śnieżne, brak ochrony dostatecznej, były z pewnością najważniejszym powodem, że od lat kilku stan kuropatw w większej części kraju do tak minimalnych doszedł rozmiarów. W istocie, w okolicach, w których to ptactwo przed parą laty swoją rozmnożą już pomyślne dla łowiectwa rokowało nadzieje — katastrofy lat ostatnich o jakiejś zupełnej zagładzie tego zwierzostanu wróżyć teraz każą. Tam, gdzie niegdyś kuropatwy, choć nie w zbyt wielkiej ilości, pojawiały się jednak zawsze, (a mówię tu w Wschodniej części kraju), od lat ostatnich znikły prawie doszczętnie, tak iżby się zdawać mogło, że ten ptak szlachetny

*) Projekt ten został przedłożony namiestnictwu do zatwierdzenia. Gdy namiestnictwo go zatwierdzi wydrukujemy go w całości w łamach *Łowca*.

stanie się w krótce Mamutem lub Megacerosem w tej części Galicyi. W mojem przekonaniu tak źle jednak jeszcze nie jest, i wierzę, iż przy jakichkolwiek staraniach i pilniejszej opiece z naszej strony, ów Mamut czy Megaceros mógłby się stać jeszcze stałym mieszkańcem naszych łąk i łanów. Przedewszystkiem chciałbym zwrócić uwagę tych wszystkich teoretycznych hodowców zwierzyny, którzy wyłącznie prawie stawiają za warunek tępienie szkodników i zakładanie remiz po polach, widząc w tem niejako jedyną możliwość rozmnożenia kuropatw w rewirach. Nie przeczę, że ta teorya, choć aż nadto znana i do sytu powtarzana, w praktyce jest konieczną, ale w obecnych stosunkach niewystarczającą. Niegdyś, gdy więcej kuropatw było po naszych polach i łąkach, stan szkodników nie był mniejszym niż obecnie, a jednak jak Schiller twierdzi: „*Raum für alle hat die Erde*“ i obok szkodników kuropatwy się jednak znajdowały. Tylko w klimatycznych katastrofach szukać nam wypada przyczyn tego ubytku i wedle sił naszych powinniśmy temu zaradzić. Cóż nam dziś po tępieniu szkodników, jeśli one nie mają na czem szkody wyrządzać? Cóż nam po remizach, jeśli nie mamy dla nich lokatorów? Cóż nam po nakrytym do obiadu stole, skoro nie mamy biesiadników? Otoż tych biesiadników by nam naprzód potrzeba, a ziemia nasza wtedy zawsze już dla nich znajdzie stół nakryty. Gdy ich dziś u nas zabrakło, zaprośmy ich do siebie choćby z zagranicy. Szląsk, Czechy, Morawa tysiące hodowanych kuropatw i bażantów, wysyłają co roku do Francyi, Włoch, Anglii, i to przeważnie nie strzelanych, lecz zabijanych jak drób domowy, li tylko jako towar eksportowy, a więc tę samą zwierzynę i żywą można by nabywać. Wątpienia nie ma, iż w każdym powiecie w Galicyi, znalazłoby się kilku lub kilkunastu właścicieli polowań, którzy by najchętniej tę stosunkowo nieznaczną ofiarę ponieśli, by w stosownej porze zakupić kilka lub nawet kilkadziesiąt par kuropatw, by je na swoich myśliwskich obszarach rozmnożyc. Niejeden byłby to już dawno chętnie uczynił, ale zawsze na przeszkodzie stają rozmaite trudności i kłopoty, jako to wyszukanie adresu jakiejś pewnej i sumiennej firmy za granicą i trudności dostawy żywego ptactwa. Drugą ważną, a poniekąd słuszną przeszkodą jest uwaga, z którą się ciągle spotkać można, że wyhodowana u troskliwego hodowcy zwierzyna, przez niedbałego o myśliwstwo sąsiada, lub przez jego służbę, wystrzelaną zostanie, skoro tylko przeleci przez granicę. Takiego egoizmu chwalić zapewne nie wypada, ale go zrozumieć można. Na to byłby sposób najpewniejszy, gdyby w każdym powiecie jak najwięcej właścicieli obszarów myśliwskich, chciało co roku pewną ilość kuropatw zakupić i wypuszczać przed porą lęgów, to ta niedogodność by się zrównoważyła, a przybyłby dla wszystkich bodziec do pilnego wzajemnego strzeżenia zwierzyny. Rzecz ta nie byłaby tak trudną do przeprowadzenia, a wtedy i tępienie szkodników byłoby pewnie na porządku dziennym, a możeby wkrótce i remizy okryły nasze pola. Najwyższą trudność widzę tu tylko w wykryciu owego źródła, zkądby tych przybyszów zaczerpnąć można. Otóż zdaniem mojem — Wydział Towarzystwa łowieckiego rzetelną oddałby usługę krajowemu łowiectwu, gdyby zechciał w tym względzie wziąć inicyatywę i gdyby nawiązał w tym kierunku stosunki ze znanemi firmami na Szląsku, w Czechach, w Morawii, w Królestwie lub w Poznańskiem, i umówił się co do ceny tamtejszych żywych kuropatw i bażantów, a względnie jaj, do użytku amatorów, którzy by się hodowlą u siebie zająć chcieli. Nie ma z pewnością powiatu, gdzieby się nie znalazło kilku właścicieli, którzyby kuropatw czy bażantów w pewnej ilości sobie chętnie nie sprowadzili, gdyby im to przyszło tylko bez wielkiego kłopotu. O ile mi wiadomo dotąd, tylko Towarzystwo myśliwskie im. św. Huberta spróbowało tej drogi, i to z dodatnim rezultatem. W tem wysilenia jednostek do niczego nie doprowadzą, konieczną jest akcya zbiorowa, przedsięwzięta na rozleglejsze rozmiary, tylko połączone siły kilku lub kilkunastu właścicieli większych łowieckich obszarów, w każdym powiecie, do pomyślnego wyniku doprowadzić mogą. Delegaci Towarzystwa łowieckiego w swoich powiatach mieliby zadanie spisać ilość zamówionych kuropatw, ściągnąć za nie należytość, i złożyć Wydziałowi Towarzystwa łowieckiego, któryby się tą sprawą zajął, i zamówioną ilość, czy to kuropatw czy bażantów, czy jaj, porozumiawszy się z zagraniczną firmą, wedle obstalunku rozesłać. Co się tu wspomniało o kuropatwach, dałoby się z pewnością zastosować i do bażantów, których rozmnażanie do pewnych rozmiarów w naszym kraju za niemożliwe nie uważam, jak to tego widzimy przykłady w Królestwie i w Poznańskiem. Taka inicyatywa ze strony Wydziału Towarzystwa łowieckiego byłaby, zdaje mi się, czynnością bardzo dodatnią i Wydział zaskarbiłby sobie nią wdzięczność świata myśliwskiego w naszym kraju.“

Nad powyższymi wywodami hr. Starzeńskiego, znakomitego naszego pisarza łowieckiego i znawcy łowiectwa, oraz nad końcowym jego wnioskiem wywiązała się długa dyskusya, w której zabierali głos pp. Krogulski, ks. Andrzej Lubomirski, hr. Mniszek i ordynat Czarkowski-Golejewski, poczem zgromadzeni jednogłośnie uchwalili polecić Wydziałowi, aby sprawą sprowadzenia do kraju kuropatw i ich rozmnoży energicznie się zajął i o swych postanowieniach członków Towarzystwa w *Łowcu* zawiadomił.

P. Seweryn Krogulski skarżył się na rozszerzanie się w kraju kłusownictwa, które ogromne gospodarstwu łowieckiemu przynosi szkody. Tow. myśliwych im. św. Huberta, którego mowca jest prezesem, wypowiedziało kłusownikom zaciętą wojnę, ale wynik jej nie bardzo pomyślny, gdyż władze bardzo pobłażliwie sprawę kłusownictwa traktują i kłusowników przykładnie nie karzą.

Może szczęśliwszą rękę będzie miało galicyjskie Towarzystwo łowieckie, mowca wnosi przeto, aby Walne zgromadzenie uchwaliło polecić Wydziałowi, by on odniósł się w sprawie kłusowni-

ctwa do namiestnictwa z prośbą, żeby wydało okólnik do starostw i poleciło im bacznie czuwać nad kłusownictwem i starać się za pośrednictwem wójtów i starostw o zupełne go wytępienie. Na wójtów, nie stosujących się do tego zarządzenia, powinny być nałożone grzywny.

Dalej wnosi p. Krogulski, aby Walne zgromadzenie poleciło Wydziałowi zwrócić się do Namiestnictwa, by ono ostro zakazało wybierania jaj, wyławiania zajęcy, by starostwa nie dopuszczały do licytacyi polowań indywiduów nie posiadających odpowiednich kwalifikacyj i by poodbierały strzelby tym, którzy ich nosić nie mają prawa.

Wszystkie te wnioski uchwalono.

P. Drahanowski żalił się na to, iż starostwa wydzierżawiają często polowania osobom zupełnie niekwalifikującym się do tego, które na dozorców polowania powołują ludzi, zupełnie nie obeznanych z przepisami łowieckimi, wskutek czego później dzieją się najrozmaitsze nadużycia. Mowca wnosi przeto, aby Zgromadzenie uchwaliło polecić Wydziałowi, by on zajął się również tą sprawą. Przewodniczący p. Czarkowski-Golejewski odpowiedział, że Wydział tą sprawą gorąco się zajmie.

P. Krogulski wniósł, aby Wydział udał się do Namiestnictwa o wyjaśnienie jednego ustępu ustawy łowieckiej, która wkrótce będzie obowiązującą. Mianowicie powiedziano tam, iż polować nie wolno w niedziele i w uroczyste dni świąteczne. Owóż należałoby, aby namiestnictwo wyraźnie powiedziało, które to są te dni świąteczne, w które polować nie wolno i jak mają zachować się myśliwi we wschodniej Galicyi, gdzie obchodzone są święta według obrządku rzymsko i grecko-katolickiego.

Przewodniczący p. Czarkowski-Golejewski oświadcza, iż sprawa ostatnia poruszoną była w sejmie podczas obrad nad ustawą łowiecką i że postanowiono, że polowania nie mają się odbywać także w uroczyste święta według obrządku grecko-katolickiego.

Na tem obrady zakończono, poczem zebrani pod wodzą p. Czarkowskiego-Golejewskiego udali się do muzeum im. Dzieduszyckich, a zwiedziwszy je udali się do hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego i złożyli mu swój hołd.

* * *

Po południu odbyła się druga część zjazdu: popisowe strzelanie. Dzięki uprzejmości władz wojskowych strzelanie to odbyło się na strzelnicy wojskowej. Pogoda była prześliczną. Początek strzelania naznaczony był na godzinę 4. po południu. Przed 4-tą godz. ulicą Kleparowską ku strzelnicy wojsk. długim szeregiem poczęły ciągnąć powozy i fiakry wiozące to uczestników zjazdu, chcących wziąć udział w strzelaniu, to gości: panie i panów, którzy chcieli przypatrzyć się popisom łowców. Strzelnica była na przyjęcie gości przyozdobioną w zieleń i flagi. Pawilon, w którym rozpoczęło strzelanie do tarcz zapełnił się o godzinie 4-tej rojem publiczności. Przybyło bardzo wiele pań, a letnie ich, pełne żywych kolorów toalety prześlicznie odbijały od tła zieleni drzew i flag, oraz od ciemnych przeważnie ubrań mężczyzn. Wojskowość z komenderującym jenerałem Schulenburgiem na czele również licznie się stawiła i wzięła udział w strzelaniu. Przeszło dwieście osób zebrało się na strzelnicy. Inicjator zjazdu p. Czarkowski-Golejewski może sobie pogratulować, iż miał tak szczęśliwą rękę i że pierwszy zjazd łowiecki powiódł się tak świetnie, iż przeszedł nawet o wiele oczekiwania jego aranżerów. Drugi zjazd z pewnością jeszcze liczniejszą ściągnie drużynę łowiecką, a z czasem, mamy nadzieję, zjazdy te nawiążą silne węzły między członkami Towarz. łowieckich w Galicyi i przyczynią się do tego, iż akcya w celu podniesienia łowiectwa i stanu zwierzyny w kraju pójdzie raźnie, energicznie i skutecznie, bo będzie prowadzoną solidarnie, połączonemi siłami wszystkich miłośników łowiectwa w Galicyi. Z zaproszonych przez Wydział gal. Tow. łowieckiego Towarzystw bratnich wzięło udział w zjeździe i popisowem strzelaniu tylko Towarzystwo myśliwych im. św. Huberta. Członkowie innych Towarzystw prowincyonalnych nie przybyli. Widocznie niedogodną była dla nich pora, 28-go czerwca, gdyż z powodu późnej wiosny i ustawicznych deszczów w bardzo wielu okolicach roboty były nadzwyczaj opóźnione. Da Bóg, na rok przyszły na balu łowieckim w karnawale, lub na drugim zjeździe łowieckim uściśniemy także dzielne dłonie członków myśliwskich Stowarzyszeń na prowincyi.

Muzyka 24 pułku piech. uprzyjemniała pobyt gościom na strzelnicy. Wogóle podnieść należy, że tak komenderujący korpusu lwowskiego jenerał hr. Schulenburg, jak i inni członkowie korpusu oficerskiego, dokładali wszelkich starań, aby swym gościom „cywilnym“ uprzyjemnić pobyt na strzelnicy i ułatwić im zapasy w popisowem strzelaniu. W imieniu i z polecenia Wydziału gal. Tow. łowieckiego składamy na tem miejscu JE. jenerałowi hr. Schulenburgowi, JE. jenerałowi br. Kotzowi, kierownikowi strzelania majorowi Feldmanowi i gronu oficerskiemu jak najserdeczniejsze podziękowanie za ich nadzwyczaj wielką uprzejmość.

Po godzinie 4-tej trąbka sygnałowa dała znak, iż popisowe strzelanie się rozpoczyna.

Strzelań było cztery:

1. Strzelanie kulami do tarcz na odległość 80 kroków o dwie nagrody: *a)* sztuciec z przyborami (dar prezesa Towarzystwa Romana hr. Potockiego), *b)* róg myśliwski (dar Towarzystwa).

2. Strzelanie kulami do tarcz na odległość 150 kroków o dwie nagrody: *a)* stelaż z insygniami myśliwskiemi na strzelby i przyrządy myśliwskie (dar wiceprezesa Tow. Tadeusza Czarkowskiego-Golejewskiego), *b)* sztuciec manlicherowski (dar Juliusza Aleks. hr. Bielskiego).

3. Strzelanie do kul szklanych o dwie nagrody: *a)* serwis na likier w srebro oprawny (nagroda dam), *b)* ozdobny kordelas (dar Andrzeja ks. Lubomirskiego).

4. Strzelanie kulami do tarcz ruchomych przedstawiających zwierzynę o dwie nagrody: *a)* puhar srebrny (nagroda dam), *b)* szaragi myśliwskie (dar członka Towarzystwa p. Alfreda Dzikowskiego).

Regulamin tych strzelań ułożony przez wy-

braną w tym celu przez wydział komisyę, był następujący:

§. 1. Do udziału w powyższych strzelaniach są uprawnieni wszyscy członkowie i delegaci gal. Tow. łowieckiego, oraz osoby przez Towarzystwo zaproszone.

§. Zgłoszenie się do każdego z wymienionych rodzajów strzelania, winno nastąpić najpóźniej na 15 minut przed rozpoczęciem strzelania. Zgłoszenia przyjmuje komitet na miejscu urzędujący.

§. 3. Wpisowe od każdego rodzaju strzelania wynosi 2. korony.

§. 4. Każdy ze strzelającyeh może używać własnej broni myśliwskiej t. j. sztućców myśliwskich i strzelb.

§. 5. Każdy ze strzelających daje 5 strzałów bezpośrednio po sobie następujących w ciągu każdego rodzaju strzelania.

§. 6. Strzelanie odbywa się tylko z wolnej ręki.

§. 7. Porządek strzelania będzie ułożony alfabetycznie według nazwisk uczestników.

§. 8. Jeżeli broń zawiedzie, może być strzał powtórzony.

§. 9. Strzał dany wbrew przepisom regulaminu uważa się za chybiony.

§. 10. Średnica czarnego przy strzelaniu pod I. i II. wynosi 20 centimetrów.

§. 11. Przyznanie nagród jakoteż rozstrzyganie spornych kwestyi należy wyłącznie i nieodwołalnie do Sądu rozjemczego.

W skład tego sądu wchodzili pp. Juljusz hr. Bielski, jenerał porucznik br. Kotz i wiceprezydent kraj. dyrekcyi skarbu dr. Witołd Korytowski, jako członkowie i Juljusz hr. Tarnowski, jako zastępca.

Przebieg strzelań był następujący:

W strzelaniu do tarcz na odległość 80 kroków wzięło udział 18 osób, a mianowicie pp. hr. Bielski (junior), Bieniecki, Cielecki, Antoni Czarkowski, Drahanowski, Alfred Dzikowski, radca Klusik, Knapp, Krogulski, ks. Andrzej Lubomirski, hr. Mniszek, kapitan Nostadt, St. Pieńczykowski, JE. hr. Schulenburg, Stojowski, pułkownik Sturm, kapitan Willerstorf, hr. Zamoyski.

Sędziowie po zbadaniu tarcz pierwszą nagrodę przyznali kapitanowi Nostadtowi, drugą hr. Mniszkowi. Dalej celne strzały oddali pp. hr. Bielski, Bieniecki i hr. Zamoyski.

W strzelaniu do tarcz kulami na odległość 150 kroków wzięło również udział 18 osób, a mianowicie pp.: kapitan Aleksandrowicz, hr. Bielski, Cielecki, Antoni Czarkowski, Drahanowski, Dzikowski, hr. Grudziński, Krogulski, kap. Nostadt, St. Pieńczykowski, Postruski, pułkownik Sturm, Stojowski, kapitan Tauszyński, kapitan Willerstorf i hr. Zamoyski.

Sędziowie pierwszą nagrodę przyznali kapitanowi Aleksandrowiczowi. Ponieważ druga nagroda była właśnie darem hr. Bielskiego, przeto on zrezygnował z przyjęcia tej nagrody, a sędziowie przyznali ją z kolei trzeciemu strzelcowi p. Stanisławowi Pieńczykowskiemu. Dalej celne strzały oddali pp. ks. Lubomirski, hr. Mniszek, hr. Grudziński, Antoni Czarkowski i Stojowski.

W strzelaniu do kul szklanych wzięło udział 11 osób, a mianowicie pp. kapitan Aleksandrowicz, Bieniecki, Ant. Czarkowski, Drahanowski, porucznik Goldschmidt, Hamerski, radca Klusik, kapitan Knapp, ks. Lubomirski, Szczawiński i hr. Zamoyski.

Kule wyrzucały specyalnie urządzone do tego maszyny.

Sędziowie pierwszą nagrodę przyznali kapitanowi Knappowi, który na 5 strzałów zrobił 5 celnych. O drugą nagrodę musieli po raz wtóry walczyć ze sobą pp. kapitan Aleksandrowicz i Hamerski, obaj bowiem przy pierwszem strzelaniu mieli po 4 strzały celne. Przy powtórnem strzelaniu zwyciężył p. Hamerski. Po trzy celne strzały mieli pp. ks. Lubomirski i hr. Zamoyski.

Nastąpiło strzelanie kulami do tarcz ruchomych, przedstawiających zwierzynę. W strzelaniu tem wzięło udział 13 osób a mianowicie pp.: kapitan Aleksandrowicz, hr. Bielski, Bieniecki, Czarkowski, Drahanowski, Goldschmidt, Klusik, kap. Knapp, dr. Krobicki, hr. Mniszek, kap. Nostadt, St. Pieńczykowski i hr. Zamoyski. Strzelanie utrudniało ogromnie słońce, które świeciło wprost w oczy strzelającym. Najtrudniej strzelać było kilku pierwszym, gdyż oni na tarczę patrzeć nie mogli, tak raził ich blask słoneczny. Następnym było już o wiele lepiej, gdyż słońce skryło się za wzgórek i nie przeszkadzało w mierzeniu. Mimo tych trudności, wszyscy biorący udział w strzelaniu popisali się dzielnie. Celny strzał padał za strzałem, a sędziowie byli w prawdziwym kłopocie, komu przyznać nagrodę i musieli uważać nietylko na liczbę celnych strzałów, ale także i na miejsca, w które tarcza, przedstawiająca kozła, była trafioną. Pierwszą nagrodę przyznali sędziowie p. kapitanowi Knappowi, drugą hr. Mniszkowi. Nadzwyczaj piękne strzały dali jeszcze pp. hr. Bielski, porucznik Goldschmidt, Stan. Pieńczykowski i hr. Zamoyski.

Na tem popisowe strzelanie się zakończyło, i zakończył się zjazd, a uczestnicy zjazdu żegnając się, zasyłali sobie wzajemne: do widzenia w karnawale na balu łowieckim i w lecie roku przyszłego na drugim zjeździe!

JELEŃ.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

III.

[Jeleń karpacki. — Sceny podczas rykowisk. — Dojrzałość fizyczna jelenia. — Bogactwo niemieckiej gwary jeleniej].

Jeleń karpacki, dzięki trudnościom, z jakiemi są połączone łowieckie na niego wyprawy, dzięki i ogromnym kompleksom leśnym we wschodnich Karpatach, zostających pod opieką nieco uregulowanej administracyi, utrzymał się miejscami w dość pokaźnych zwierzostanach, co więcej nie nastąpiła tam degeneracya i karłowacenie kształtów, jakie w naszych czasach w uderzający sposób ujawniły się na zachodzie w zwierzostanach jelenich. To też nie dziw, że co roku i coraz częściej odwiedzają pewne pasma naszych górskich borów rozmaitego gatunku dostojnicy rodów i urzędów, spragnieni widoku prawdziwego jelenia, prawdziwego króla górskiej puszczy, o którym nie mogą dać dobrego wyobrażenia ani wychowanki zwierzyńcowe, ani jelonki wymęczone bodaj w wolnej nibyto kniei wśród ciasnoty ekonomiczno socyalnej.

Statystyka ubijanych corocznie w pasmie karpackiem jeleni, nie może dać żadnego wybrażenia o ilości znajdujących się tam zwierzostanów, bo do wiadomości statystyka dochodzą jedynie urywkowe sprawozdania z jelenich łowów, a opierając się na tych zestawieniach, w których od dłuższego czasu cyfra ubijanych rocznie jeleni około 20 kilku sztuk się obraca, możnaby powziąć fałszywe wyobrażenie — i przedwcześnie zaliczyć jelenia do moriturów w całym wschodnim pasmie Karpat. Ale na szczęście tak nie jest; wprawdzie zwierzostan jeleni nigdzie w Karpatach do zbyt świetnych zaliczonym być nie może, i co najmniej nie odpowiada przyrodniczej a nieszkodliwej możliwości w tych ogromnych obszarach, jednak ród jeleni nie zanika, lecz owszem, jak o tem świadczą spostrzeżenia miejscowe a osobliwie na rykowiskach, zwierzostany w ostatnich latach znacznie się poprawiły.

Od dłuższego już czasu statystyka łowiecka jeleni zakamieniała, w ogólności w całym kraju zatem i w zwierzyńcach w zachodniej Galicyi padać ma rocznie 80 sztuk. Z cyfry tej odtrącić należy na łowy zwierzyńcowe 50 kilka, tak, że znikająco małą zdobyczą mogą się pochlubić statystyką objęte łowy jelenia karpackiego, a w dodatku zdobycz ta odnosi się przeważnie do najpiękniejszych rewirów jelenich w Perehińsku i Jasieniu, gdzie na obszarze około 62.000 hektarów (razem z Łopianką i Suchodołem) znachodzić się ma około 650 sztuk jeleni.

Szczególniejszej woni i smaku eliksir płynie ztamtąd w duszę myśliwego. Ludzie najwybredniejszych gustów, możni panowie kulturnych urządzeń myśliwskich, dążą w nieprzystępne góry, gdzie jeszcze jakby w drugim dniu stworzenia grzmią poryki wolnego jelenia.

Ani w przyrodniczo-klimatycznych, ani w kulturnych stosunkach naszych gór nie można odszukać rozumnych powodów, dla którychby zwierzostan jeleni miał zanikać, ułatwiony zaś w czasach dzisiejszych przystęp do górskich ostoi jelenia karpackiego, może, jak sądzę, stać się tylko bodźcem do lepszej opieki nad tym szlachetnym zwierzostanem, stanowiącym powabny magnes dla prawdziwych myśliwych, a ci znów straszni dla innych zwierzostanów, straszni dla niedźwiedzi, rysiów, orłów, sępów etc. wielkich ofiar od zwierzostanów jelenich nie pożądają, jak o tem właśnie pouczają cyfry statystyki, obejmujące niemal wyłącznie zdobycz takich łowów.

Ale ileż to najkraśniejszych jeleni zginie tam corocznie z powodu zasadzek bojków i huculów? O tem statystyk niczego nie wie, ale za to wiem i ja i wiedzą o tem wszyscy, którzy bacznem okiem przesunęli po zaułkach i ostępach sadyb naszego łowieckiego narodu w górach. I tylko w tym kierunku prymitywne stosunki łowieckie grożą największem niebezpieczeństwem przyszłości zwierzostanów jelenich. Bezwzględne i niszczące środki anachronicznego już po dziś dzień łowiectwa pierzchnąć powinny raz na zawsze w obec coraz dalej w głąb gór sięgających pretensyj kulturnych, inaczej źle być może z naszym jeleniem, zaniknie on tam przedwcześnie, zcześnie ozdoba górskiego boru, zanim faktyczne ku temu zapanują warunki. Gdzie tylko we wschodnich Karpatach w dawnych ostojach jeleni zaniechano niszczących sposobów, gdzie tylko poskromiono nieco zuchwalstwo kłusownicze, tam widocznie zwierzostany się poprawiły i jest wszelka nadzieja, że jeleń karpacki znajdując się wśród warunków, których żadna sztuka zastąpić nie jest w stanie, pozostanie jeszcze na długo przyrodniczym monopolem tego pasma ziemi, pod warunkiem jednak, że i nasi na południu sąsiedzi, z którymi po wielkiej części prawa do zwierzostanów jelenich dzielić musimy, uszanują je w sposób postępowy.

Jeleń karpacki odbywa w pewnych porach dalekie wędrówki, a powodem tychże są bądź stosunki klimatyczne, bądź warunki sezonowe wyżywienia, a wreszcie dobór płciowy w porze jesiennej. Wędrówki takie odbywają się zazwyczaj w porze nocnej. Z wiosną, gdy w górach głębokie jeszcze zalegają śniegi, a u podnóża gór pierwsza do życia budzi się roślinność, schodzą pojedyncze jelenie na doły, zatrzymują się częstokroć dłuższy czas w kniejach podgórskich, a zdarza się, że dopiero pora rykowiska zwabia je znów w głębokie góry. W zawalnych, śnieżnych i mroźnych zimach prawie niema jeleni na północnych stokach gór, wszystko się wynosi na łagodniejsze stoki węgierskie, o czem dobrze wiedzą nasi sąsiedzi. Przeciwnie w łagodniejszej zimie, a zwłaszcza w nasiennych latach leszczyny, zimują one na naszej stronie, trzymając się stoków przyległych do wód, gdyż bez tego i w zimie obejść się nie mogą, tembardziej gdy bukiew stanowi główną treść wyżywienia. Podczas rykowiska jelenie karpackie zapędzają się czasem bardzo głęboko w równiny węgierskie, a nawet pojedyncze sztuki pojawiają się z początkiem września, gdy się już rozpoczęło rykowisko w błonnych kniejach naddunajskich aż w tych dalekich stronach, gdzie nawet zdradzają swe przejścia wytłokiem okrągłych i krótkich racic w miękkiej ziemi. W początkach października zazwyczaj kończy się tam rykowisko, a zgoniony, wycieńczony, biedny jeleń karpacki, pijany wspomnieniem pięknych dni, przeto niezbyt przezorny, przeciąga zwolna przez

pożółkłe i w części już z liścia ogołocone lasy, dążąc do swej rodzinnej kniei. Dla takiego wędrownego Don Juana przepadły już uroki godowych zapasów i zachwytów rozpoczętych już na dobre w naszych górach. Gorzką musi biedak ten przeżyć chwilę, gdy w poczuciu własnej impotencyi usłyszy wspaniały koncert rozryczałych swych współ plemieńców. Na tle spokojnej natury grzmią teraz całe pasma tym wielkim, głębokim tonem, mogącym rywalizować z najpotężniejszą akustyką martwego żywiołu. Gardłowe brzmienia rozdzierają powietrze i odbijając się stopniowem echem, dają wcale przesadne wyobrażenie o ilości koncertantów.

Wzburzona i nadmiernie rozgrzana krew o tej porze potrzebuje ożywczych chłodów ranku i wieczoru, aby okazać się w całej potędze, podwyższona temperatura dnia osłabia namiętności, nie słychać wtedy zazwyczaj ryków, zwierz chroni się w gęstwie, przebywając tam porę południową, lub ostrzy energię zimną kąpielą byle w jakim najbliższym zbiorniku wody. Pod względem czystości wody nie jest wcale wybrednym — niska orzeźwiająca temperatura zdaje się mu być najpożądańsze, a gdy wody czystej brak, czyni to samo w zimnem błocie, torfowisku, nosząc potem przez kilka dni ślady takiej niechlujnej kąpieli.

Nie dziwią się bynajmniej, że jesienne łowy na rykowisku, dawniej mało uprawiane, znajdują z każdym dniem więcej zwolenników w kołach prawdziwych i najinteligentniejszych myśliwych Cierniowa to wprawdzie i nie każdemu przystępna z rozmaitych względów droga po zieloną gałązkę, ale kto już raz w życiu zażył i tych cierni i naprzemian upajających czarów, jakiemi potężna górska przyroda działa na umysł człowieka o tej porze, ten już póki mu zdrowie i siły służą, pozostanie w pętach tej czarodziejki i z tęsknotą wyczekiwać będzie chwili kiedy znów zaryczą jelenie wśród karpackich borów. Wspaniały i godny to całego otoczenia sztafaż, kresowy dramat w rocznym cyklu życia zanim się tam wszystko nie spowinie do snu zimowego.

Ale wstąpmy na chwilę w ten nowy przybytek. Słońce już zapadło za górami; posuwając się coraz wyżej, gasną różowe blaski na górach. Żarem płonie cały zachód, a od wschodu ołowianej barwy cień ziemi zaciąga coraz wyżej swój płaszcz ponury, na którym u zenitu poczynają się już wychylać brylanty nieznanych światów. Stoimy na skalistej ścianie tuż nad krawędzią wązkiego parowu, w którym teraz ciemność zupełna i cisza tajemnicza — od zachodu rysują się jeszcze ostro wierzchołki świerków na jaśniejszem tle nieba, a reszta krajobrazu tonie coraz niewyraźniej w mrokach nocy. Wtem zajęczało coś w wierzchołkach drzew po przeciwległej stronie parowu, zgrzytnęły trące o siebie strzały jodeł, jak dusza pokutującego grzesznika, jęk się zbliżał, melancholijnie coś śpiewał w igliwie koron, wreszcie na jego skrzydłach doleciał ryk straszny, poruszający do głębi całą maszynę naszego organizmu. Jeszcze nie przebrzmiały echa ryku, a już słychać gdzieś z oddali groźną odpowiedź rywala. Widocznie czekał on tylko na rzucenie rękawicy, podniósł ją skwapliwie i odpowiada teraz w imię najważniejszych misyj życiowych. Jeszcze po kilkakroć razy następuje wymiana głosów w coraz to namiętniejszem tempie, zapaśnicy zbliżają się do siebie rozgorączkowani odzywaniem się jeszcze kilku jeleni, wreszcie następuje dłuższa chwila ciszy, widocznie zapaśnicy, rozpoznawszy się dobrze, gotują się do walki. obmyślając najskuteczniejsze do zwycięztwa sposoby. Tymczasem z jaskrawej łuny wynurzył się już na wschodzie wielki pomarańczowy balon, coraz wyraźniej występują szczegóły otoczenia, coraz srebrzyściej na świecie, wreszcie wyziera już dokładnie niewielka polanka nad parowem i tańczą blade światełka na fali przepływającego strumyka. Słychać jakiś szelest w gęstwi przy polance, skrzypią suche gałązki, zresztą cicho w naturze, już i wiatr nie jęczy w wierzchołkach drzew, stoją wokół jak niewzruszone kolumny lasy masztów, a na zboczach wyzierają z ciemnej zieleni igliwa fantastycznych kształtów białe piaskowca głazy jak pomniki gigantów. Szelest w cieniu lasu nie ustaje, owszem wzmaga się, zbliża — coś wreszcie majaczeje w ocienionej jeszcze stronie polany i ukazuje się kilka łań w świetle księżyca. Stanęły, łyżki sterczą do góry, a główki wolnym obrotem rozpatrują otoczenie; niema nic podejrzanego — tylko strumyk szemrze w ukryciu, cichym, tajemniczym lotem przemknie sowa ponad głowami i odezwie się przeraźliwym chichotem. Niema przeto najmniejszej obawy. bo i odwrót zapewniony — tam czuwa zazdrosny rycerz, kroczy zwolna, wietrząc i strzygąc łyżkami, wreszcie wychyla się na polanę uwieńczony łeb. Widocznie zwierz zniecierpliwiony już do najwyższego stopnia kunktatorstwem rywala, pod wpływem magicznego światła Seleny dochodzi kulminacyjnego punktu podniety. Niby grzmot gwałtownym tonem drży teraz jego ryk urywany, niby obelgi starożytnych bohaterów, wyrzuca cały potok wyzwań w jakiejś dzikiej kaskadzie. Wznosi łeb do góry, wieńce niemal na grzbiecie kładzie, a kłęby oddechu okalają go w chłodnem powietrzu obłokiem pary. Ale i rywal nie tracił czasu daremnie, widocznie podsuwał się on w inną stronę pod tę ulubioną arenę turnieju i jest już blisko, ukryty w cieniu lasu, zkąd niemniej grożący rozlega się ryk jego. Jeleń na polance postąpił kilka kroków ruchem elastycznym, jeszcze po kilkakroć razy nastąpiły wymiany wyzwań, snać i to niezbędne do podniesienia nastroju, w którym organizm dopiero jest zdolnym do ostatniego aktu dramatu. Podczas, gdy brzmią wojenne surmy rycerzy, gdy się już broń ostrzy na dobre, nadobna połowa rodu na polanie zachowuje się dość obojętnie. Kto zwycięży? to mniejsza o to, gotowe one zawsze oddać się silniejszemu zwycięzcy — tak chcą odwieczne natury prawa, zawracanie oczu niczego tam nie dokaże, gdy kompetencyi dowodu nie złoży siła.

To też już poczyna składać próby siły dotychczasowy basza stada — i gdy piękna połowa przechadza się po polanie kokietującem hiszpańskiem tempem zniżając chwilami mordeczki, aby z grymasu skubnąć jakieś ziółko lub listek,— rzuca się z wściekłością na ziemię, przyklęka, orze runo końcami wieńców, wysoko w górę podrzuca całe szmaty zdartego mchu, tarza się i wydobywa przytem jakieś głuche, nienawistne głosy, wreszcie rozgrzany, dysząc gwałtownie, schwytuje się prostuje, głowę do góry zadziera, potrząsa wieńcami, ubranymi w girlandy wydartych mchów i widlaków, gardło nabrzmiewa i rozdziera jeszcze raz powietrze straszny apel bojowy. W tej postaci jako usobiony majestat piękna i siły prezentuje się po raz ostatni — bo ukryty zapaśnik już wylazł z ziemi i błysnął wieńcami na czarnem tle boru. Jeszcze mała chwilka. i już są przy sobie zapastnicy — słychać głuche poryki, łoskot uderzeń, całe gynajkeum teraz już z wytężoną ciekawością śledzi przebieg walki — szanse widocznie przechylają się na stronę dawnego opiekuna stada, bo walka coraz dalej posuwa się naprzód, wreszcie giną obaj zapaśnicy w cieniach lasu, słychać jeszcze przez kilka minut łoskot uderzeń, stękanie, wreszcie tentent spiesznej ucieczki. a wśród łań na polanie ryczy znów jeleń nieco odmiennym jak pierwej głosem bo

zwiastuje i zwycięztwo i szle wyrazy hańby w stronę uszłego rywala.

Zdarza się podczas rykowisk, że dwaj nawołujący się zapaśnicy zbliżą się z groźną miną, ale gdy płci pięknej po obu stronach brakuje, ochładzają się wnet wojenne zapały, a rycerze spojrzawszy sobie oko w oko, odchodzą spokojnie w rozmaite strony. Innym znów razem, gdy się spotkają równych sił zapaśnicy a w bliskości znajduje się powabne gynajkeum, walka przeciąga się zbyt długo, aż do upadłego, a częstokroć kończy się conajmniej zupełnem ubezwładnieniem jednego, pada on albo rażony śmiertelnie, albo zepchnięty zostaje w skalistą przepaść, gdzie nieochybnie śmierć znachodzi. Do fenomenalnych wypadków należy tragiczny koniec obu walczących, gdy w zapamiętałości posuną się nad jakąś przepaść — wprawdzie sceny takie i upadek prowadzący za sobą śmierć walczących, nie tak łatwo dadzą się dostrzedz, jednak, że tak się czasem dzieje, to udowadniają znachodzące się nieraz szkielety dwóch jeleni, spoczywające obok siebie w głębokim parowie.

Niemniej do rzadkich, jednak dokumentnie skonstatowanych wypadków należy skrzyżowanie się wieńcami dwóch walczących jeleni w ten sposób, że rozłączenie staje się niemożliwe. Próbowałem praktycznie w rozmaitej formy wieńcami o ile takie zaklinowanie jest możebne i przyszedłem wreszcie do poznania, że jakkolwiek trudno i tylko przy pewnych kształtach połączenie takie nastąpić może, jest jednak w tych rzadkich wypadkach, gdzie zaklinowanie lub skrzyżowanie równocześnie w 3 miejscach się dokonało tak stałem i niewzruszonem, że rozłączenie tylko przy zachowaniu szczególnych prawideł da się uskutecznić. Wśród dzikiego szamotania się zwierząt rozjątrzonych do najwyższego stopnia takim fatalnym składem rzeczy silne i elastyczne, (co jest w tym wypadku jeszcze gorszem), gałęzie zaklinowują się jeszcze mocniej, tak, że już niema wyjścia i straszny koniec, bo śmierć głodowa obu zapaśników jest nieuniknioną. Syamskie pary jelenich rycerzy są dość zwykłym i zawsze sensacyjnym objektem, to też spotykamy się z niemi na rozmaitych wystawach częściej jakby to należało, co wzbudza mimowolnie podejrzenie, że wiele z tych podziw budzących okazów jest produktem spekulatywnej konstrukcyi, bo jak dawniej, tak i dziś „mundus vult decipi“.

Czy to dysharmonia płciowa, czyli też zbytnia zazdrość posiadania wyłącznych względów płci pięknej, wprowadza częstokroć pewne mniej wojowniczo usposobione osobniki jeleni na manowce miłości i przesuwa przed naszym wzrokiem objawy monstrualne, przypominające starą piosnkę z nadbrzeży morskich o śledziu zakochanym w ostrydze. Z bardzo dawnych czasów datują się spostrzeżenia skotników i myśliwych, że pewne jelenie w porze rykowiska zrezygnowawszy ze swych praw przyrodzonych wśród własnego plemienia, i nie biorąc rzeczy nazbyt ściśle, idą za głosem „des ewig Weiblichen“ i znajdują wielką przyjemność w przebywaniu pośród stad pasących się krów i jałowic. Na bezrybiu i rak rybą, jałowice muszą pozować na łanie, chociaż rola ta nie może być żadnym skutkiem uwieńczoną. W braku jednak skutków rzeczywistych, przodkowie nasi zastąpili je imaginacyą, oto z takiego połączenia miały się rodzić bastardy, o których istnieniu w zupełnie pewnym siebie tonie pisze nieznany mi z nazwiska geograf w swem dziele r. 1690, mówiąc o stadach bydła na Rigi w Szwajcaryi: „Darauf weiden 2500 Kuhe und auch viele Hirsche, die sich während der Brunft unter das Vieh gesellen und die Kuhe zu beschlagen versuchen. Aus den Paarungen entstehen dann die sogenente Kälberhirsche, so vorn ein Kalb, hinten aber ein Hirsch abbilden“.

Z innej strony dowiadujemy się o podobnych mezaliansach krowy z jeleniem, w którym jeleń zawsze tylko tylną część swego ciała przelewa na potomstwo, a James Backer (Türken in Europa p. 289) posądza jelenie również o podobne awantury z pasącemi się klaczami.

W rewirach, gdzie brak jeleni starszych, musi z konieczności zastąpić je podczas rykowiska jeleń młodszy bądź szóstak bądź nawet widłak, jednak już sam wygląd zwierząt o tym rozwoju wieńców, jeżeli tylko nie należą do myłkasów lub do form fizyologicznych zacofanych wskazuje, że nie osiągnęły one jeszcze dostatecznej dojrzałości płciowej, która u jeleni posiadaniem broni zaczepno odpornej w wieńcach się odznacza. Młodziki takie w doborze płciowym niewielką mogą odegrać rolę, to też zazwyczaj wobec starszych jeleni bardzo skromnie się zachowują. Dopiero u 8maka kąt ocznej gałęzi względem pnia wieńcowego, rozwiera się, wysuwa ku przodowi, a u 10taka gałęź ta zaczyna przybierać położenie jeszcze więcej do poziomu i przodowi skierowane, czem dopiero wieniec nabiera kształtu broni zaczepno odpornej. Broń tę wspiera jeszcze skuteczniej w tym okresie pojawiająca się nowa gałęź tj. druga od spodu, zwrócona tuż nad oczną poziomo ku przodowi.

Tak uwieńczona głowa nosi na sobie charakter bojowy i kwalifikuje zapaśnika do upornej walki. „Hirsche die zehn Enden tragen, oder nach dem Schein ihres Körpers tragen könnten, werden jagdbar genannt“, powiada Hartig (Jagdlexikon S. 137), a w naszem łowiectwie historycznem rozumiano pod jeleniem łownym również zwierzu o nie mniej jak 10 gałęziach i przynajmniej 300 f. pol. wagi.

Łowiectwo niemieckie, w którem od niepamiętnych czasów łowy jelenie stanowiły same przez się główną i nader skrupulatnie pielęgnowaną gałęź łowiectwa, posiada tak bogatą gwarę, specyalnie odnoszącą się do jelenia, że częstokroć trzeba się nam zapożyczyć terminem niemieckim, chcąc rzecz określić odrazu. Język nasz, acz bogaty gdzieindziej, w terminologii niemieckiej jelenia posiada rażące luki. Dla wielu polskich myśliwych niezrozumiałymi są nazwy: „Schadhirsch“ i „Platthopf“ pomimo, że rzecz sama jest im znaną. O tych to przyrodniczych fenomenach, pragnę tu pomówić, bo zdarzają się i w naszych górach. Schadhirsch jest to jeleń odbywający całkiem prawidłowo zmianę wieńców, zatem nie myłkus, którego wieńce jednak pozostają zawsze widłami. Broń taka wobec wielkiej siły staje się straszną dla przeciwnika, tem straszniejszą, gdyż zazwyczaj osada takich wieńców ku przodowi usposabia właściciela tychże do zadawania pchnięć i ciosów śmiertelnych, bo niedających się tak łatwo odeprzeć. Zwierz mogący walczyć tą bronią staje się przeto niebezpiecznym nawet dla silniejszego rywala, ztąd uważanym jest za prawdziwego szkodnika. Widywałem tego charakteru wieńce bardzo znacznej, bo 8 klg. wagi, a końce były zawsze nader spiczaste i ku przodowi zwrócone. Pojedyńczą tykę takiego dożywotniego widłaka posiada muzeum im. hr. Dzieduszyckich.

Plattkopf jest to jeleń zupełnie pod względem płciowym wykształcony, a nie posiadający nietylko wieńców, ale nawet guzów czelnych. Zdawać by się mogło, że takie bezbronne jelenie wobec konkurencyi w doborze płciowym nie mogą być czynno, jednak w istocie rzecz się ma inaczej, a chytrość zwierza znajduje drogę do osiągnięcia celu bez walki, tem bardziej, że ułatwia mu to przesadnia za-

zdrość i wojowniczość chwilowego baszy, który sam częstokroć zaślepiony zbytnią troskliwością, oddala się chwilowo od łań. Wtenczas korzystają z chwili niedorostki, widłaki, szóstaki, korzystać może i upośledzony Plattkopf, bo eunuchem nie jest, a gdy już „post festum“ zjawia się groźny basza, zastępca już się odddalił i w przyzwoitem oddaleniu wysłuchuje gromkich głosów oburzenia, wypatrując stosownej sposobności, aby znów oszukać potężnego rogala. Sam akt odbywa się nader szybko, a wśród haremu znajdą się zawsze umęczone zazdrością jednostki, które z upragnieniem wyglądają chwili zdobycia swych praw fizyologicznych.

Pieczyste z jelenia ubitego na rykowisku zdyskredytowało go w ogólności w użytku kulinarnym, czem później w trwającej cały miesiąc porze rykowiska ubitym zostanie jeleń, tem mniej użytecznem jest jego mięso, a w końcu wcale nieużytecznem się staje. Oprócz wstrętnej chudziny, łykowatości, tchnie jeszcze nieznośnie, a perfumeryi tej nie usuwa powszechnie praktykowane wyjęcie jąder. Dopiero zupełne extyrpowanie sznurków i pęcherzyków nasiennych ma wywierać skutek pożądany (Carus. Zootomie str. 660).

Dla myśliwych, uprawiających ten rodzaj łowów jelenich, pieczyste z pewnością nie jest główną zachętą, a to, o co im głównie chodzi, znajdą w łowach na rykowisku w takiej mierze, jak nigdzie w innej porze, a w końcu tego wpada im w rękę i powabna nagroda, bo wieniec w swym kulminacyjnym punkcie wykształcenia.



KACZKI.

Pogadanka.

Kaczka — to najśmieszniejszy temat! Lecz ponieważ obecnie nadszedł sezon polowania na te ptaki i rozpoczął się 15 czerwca, więc warto coś o nich pogawędzić.

Kaczek jest trzy główne odmiany a mianowicie: kaczka dzika, kaczka domowa i kaczka tzw. dziennikarska, rozwielmożniająca się niestety coraz bardziej. O pierwszych dwóch gatunkach uczy nas zoologia, o trzecim natomiast nic nie wspomina i dlatego przejdziemy nad nim do porządku dziennego, tj. o kaczce dziennikarskiej gawędzić nie będziemy, pozostawiając wszelkiego rodzaju badania w tym kierunku dziennikarzom, jako specyalnym hodowcom tej odmiany kaczek.

Także i o drugiej odmianie kaczki t. z. domowej, nie ma wiele do powiedzenia. Są to stworzenia bardzo niezgrabne, nie posiadające zupełnie tej inteligencyi — jaką często u zwierząt spotykać można, a nadewszystko dlatego nie będę mówił o niej, że ona dla kucharek i gospodyń stanowić może temat do pogadanki, ale nigdy dla myśliwego. Zostawiamy więc i ją w spokoju — przechodzimy do kaczek dzikich.

O tych da się dużo powiedzieć.

Przedewszystkiem pod tym wyrazem „kaczka dzika“ rozumiemy nietylko „szarą kaczkę“, ale również cyrankę i wszelkie jej odmiany, a tych jest dużo. Są bowiem zwykłe cyranki, krzyżówki, cyranki z zupełnie ciemnem upierzeniem. Są t. z. „świstawki“ dużo mniejsze od wyżej wymienionych i nadzwyczaj ruchliwe, są i tak małe jak dubelty i są krasne małe, ale te są przelotne i u nas pojawiają się tylko na wiosnę i w jesieni.

Zaznaczywszy to mimochodem, zajmiemy się teraz ich bytowaniem. Kaczki są ptactwem gromadnem, a zarazem utrzymującem się w parach. Lecz rzecz dziwna! Kaczka wynalazłszy względnie usławszy sobie gniazdo, nietylko unika kaczora, ale nawet kryje się przed nim, jak gdyby się obawiała, że on zniszczy przyszłe jej potomstwo. Ta obawa idzie tak daleko, że jeżeli kaczka usłała sobie gniazdo na ziemi wśród zarośli, to siedząc na niem, okrywa się jak najdokładniej trawą i szuwarami, aby tylko ukryć się przed kaczorem.

Inna jest rzecz, jeżeli uda jej się wynaleźć gdzieś w pobliżu stawu jakieś drzewo, na którem niegdyś gnieździła się wrona lub jaki inny ptak. Upatrzywszy takie miejsce, kaczka nie zwierzając się kaczorowi, udaje się tam, mieszkanie to odświeża, robi wygodnem i jednem słowem obejmuje w posiadanie i znosi jaja, nie dbając wiele o kaczora i nie okrywając się trawami przed nim.

Lecz tego rodzaju lokale mają swoje niedogodności, bo jakkolwiek nie zachodzi nawet ta obawa, ażeby woda zalać gniazdo mogła, co na łąkach, przylegających do stawu jest możliwe, to przecież ma biedna matka nie byle jaki kłopot z dziećmi, kiedy one już się wylęgną. Lecz i tu natura wskazała co robić należy.

Kiedy pisklęta w kilka dni po wylęgnięciu są już o tyle silne, że kręcą się coraz żywiej po gnieździe, wtedy kaczka rozpoczyna działać. Z całą ostrożnością, właściwą matkom, bierze jedno kaczę po drugiem i znosi z drzewa na trawnik, przewracając każde na wznak t. j. nóżkami do góry, a to dlatego, aby ono powstać nie mogło i nie zagubiło się w trawie. Z chwilą, kiedy wszystkie kaczęta są już na ziemi, a bywa ich po kilkanaście, nieraz nawet dwadzieścia — kaczka szybko wszystkie odwraca, tak, że one iść mogą. Wtenczas uradowana, że wyprowadziła się z tak wysokiego lokalu, zaczyna wesoło kwakać, gawędzić i prowadzi swe potomstwo na wodę, co dla kaczki równa się rozkoszy.

Doszliśmy więc do tego punktu, kiedy młode kaczki są już na wodzie i mają stać się wkrótce zwierzyną, na

którą mamy polować. Przedewszystkiem pamiętać o tem należy, że te kaczęta dopiero za 5 lub 6 tygodni stosownie od pogody, stać się mogą podlotami. A ponieważ lęg kaczek bywa — także stosownie od pogody — wcześniejszy lub późniejszy, więc nie można ściśle, zwłaszcza u nas, brać za podstawę, że z dniem 15 czerwca wolno iść na kaczki. W tym roku — na przykład — lęg jest bardzo spóźniony i źle ten robi, kto spodziewa się wcześnie na kaczki polować.

A teraz przystąpmy do uwag nad samem polowaniem na kaczki.

Przedewszystkiem natrafiwszy na stadko należy się postarać, aby starą odbić. Powód do tego jest bardzo ważny, bo młode kaczki, nie mające opieki, szukają jej w innych stadach, przyłączając się do spotkanych na swej drodze Ztąd tworzą się całe gromady i wtedy dopiero, natrafiwszy na taką większą ilość razem zebranych kaczek, jest polowanie na nie bardzo przyjemne.

Lecz tu znów muszę jedno zaznaczyć. Napotkawszy taką znaczniejszą ilość kaczek, trzeba zachować zimną krew. Zwykle bowiem tak się zdarza, że kiedy zajedziemy czółnem taką gromadkę, jedna bliżej się znajdująca zerwie się szybko. Strzał pada i ona zatrzepotawszy skrzydłami zniża się i w końcu nieżywa gdzieś przed łodzią zapada na lustro stawu. Wtenczas nie należy się gorączkować, ta leżąca na powierzchni wody kaczka nie zginie i nie przepadnie. My ją później dostaniemy. Teraz przedewszystkiem trzeba jak najprędzej założyć świeży nabój i pilno patrzyć posuwając się łodzią naprzód. Zdarza się bowiem bardzo często, że młode kaczki nieobeznane ze strzałem, słysząc huk tak silny, przyczajają się i na razie nie wiedzą, co z sobą począć. Nacierane jednak łódką zaczynają się podrywać. Wtedy pada strzał za strzałem i nierzadko w takiem jednem miejscu można kilka, a nawet kilkanaście zrobić strzałów.

Mówiąc o odbijaniu starych kaczek, mogę polecić o ile się da odbijanie kaczorów. To są skończeni hultaje. Bo proszę państwa wyobrazić sobie takie niecnoty. Z wiosną romansuje z kaczką, a równocześnie zerka za innemi damami rodu kaczego. W słaniu gniazda nie chce taki bałamut brać żadnego udziału i później nic nie dopomaga biednej matce, która całe trudy wychowania i wykształcenia potomstwa na dzielne kaczki sama jedna ponosić musi. A w porze, kiedy już są podloty, to taki pan kaczor — wart jest strzału. Ten sybaryta, podczas kiedy jego nibyto ukochana siedziała na gnieździe, bujał sobie po zaroślach i szuwarach, delektował się pokrzywką, a tu i ówdzie nawet jakąś małą rybkę pochłonął. To też zanim się ona trochę odżywiła, on już utył — stał się rzeczywiście godnym strzału. A łatwo go odróżnić choćby nawet przypytał się do jakiejś gromadki, bo jest większy od kaczki, siwawy pod brzuchem, a jeżeli w locie się odezwie, to głos jego chrapliwy różni się bardzo od głosu kaczki.

Dawniej myśliwi twierdzili, a nawet jeszcze i teraz niektórzy twierdzą, że rano najlepiej polować na kaczki i to bardzo rano. Ta teorya jest błędną, bo kaczka rano wcześnie jeszcze żeruje, a wtedy jest czujną i na najmniejszy szelest uważną. A co do słuchu, kaczka — jakkolwiek nie ma uszu — jest nadzwyczaj wydelikaconą Lecz kiedy dobrze się pożywi, a słońce zaczyna dopiekać, to ona bezwiednie przechodzi w owe włoskie „dolce far niente“; zatyka dziób po łebek w skrzydło i kołysze się na fali. Wtenczas najłatwiej ją podjechać, a w każdym razie łatwiej, aniżeli z rana, kiedy ona żerując jest pełna życia. Natomiast na jesieni najlepiej jest polować na kaczki nad wieczorem, bo one znudzone całodziennem siedzeniem na środku stawu i kołysaniem się na fali, równocześnie z obniżeniem się słońca kierują się ku brzegom między sitowie i szuwary, aby tam głód swój zaspokoić.

W okolicach, gdzie kaczek bywa wielka obfitość, a wody w stawach nie zbytnio głębokie, urządzają myśliwi wysepki z piasku, osadzając je gęsto trzciną i wysokim szuwarem. Na taką wysepkę kaczka chętnie idzie, a ukryty w trzcinie myśliwy strzela ją na pewniaka. Wysepki takie mają jeszcze i tę zaletę, że oprócz na kaczki można tam także zasiadać na wydry i czaple, które często się na takich miejscach pojawiają.

Jakkolwiek nie możemy jeczcze dotąd uskarżać się na brak ptactwa wodnego w ogólności, to przecież muszę tu zaznaczyć, że już nie ma go tyle, co dawniej bywało. I obecnie na jesieni na dużych stawach spotyka się wielkie gromady kaczek zbitych w jedną masę na środku stawu, ale stanowczo dawniej bywało ich nierównie więcej. Czemu ten ubytek przypisać, trudno oznaczyć. Za zasadę bowiem można przyjąć, że nie zabija się ani $^1/_4$ części tej ilości, jaka co roku się lęgnie. Jakąś ilość wytępi drapieżne ptactwo, ale to wszystko nie może wytłómaczyć tak wielkiego ubytku, który tem jest dziwniejszy, że należałoby się spodziewać co roku znacznego przyrostu. A dzieje się odwrotnie i dojść może do tego, że w niektórych okolicach słynących niegdyś z wielkiej obfitości kaczek, będzie tak o nie trudno, jak dziś tu i ówdzie o kuropatwę lub przepiórkę.

Na zakończenie tej pogadanki o kaczkach dodać muszę, że polując na nie z łodzi, jest bardzo wygodnie i dobrze mieć z sobą dobrego aportera. Zdarza się bowiem dosyć często, że strzelona kaczka nie spadnie po strzale prostopadle, ale ciągnie jeszcze kawałek spory i zapada dopiero w sitowia lub szuwary. Tam zaś najpilniej jej szukając trudno znaleźć bez psa. On, jeżeli mu się wskaże kierunek, w którym spadła, skacze do wody i przy pomocy swego węchu niechybnie ją odszuka. Do tego kwalifikują się stanowczo lepiej cetery, aniżeli pontery. Ostatni, jeżeli jest karny, pójdzie do zimnej wody, ale niechętnie a nierzadko się zdarza, że mu to zaszkodzi. Natomiast ceter długim włosem pokryty, nie boi się tak zimna, a pływać umie i lubi.

K. Kozierowski.

KŁUSOWNICY.

Przykazanie Boże mówi: „Nie kradnij!“ Tem samem powiada, że cudzej własności zabierać nie wolno. A w dalszym ciągu tych samych przykazań jest niejako określenie bliższe poprzedniego przykazania, bo jest powiedziane: „Nie będziesz pożądał ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest“. — Ztąd też wynika, że wszystko, co nie jest twojem, ale bliźniego twego, nie należy do ciebie, — nie wolno ci tego sobie przywłaszczać. — To

samo dotyczy nietylko woła, osła, ale także i zwierzyny, która, jakkolwiek dziko hoduje się w lasach, lecz tak samo jak drzewa, jest własnością posiadacza tych lasów, a wszelkie zabieranie samowolne tej zwierzyny jest bezprawiem, kradzieżą. Śmiało też twierdzić można, że każdy kłusownik jest złodziejem.

Z tem pojęciem zgodzili się wszyscy ustawodawcy, tworząc prawa, które mają na celu karanie za kłusownictwo. W obowiązujących nas ustawach dotyczących łowiectwa a mianowicie w patencie o polowaniu z dnia 13. kwietnia 1786 mówi wyraźnie §. 20.: „Słowem, łapanie lub strzelanie cudzej, jakiegokolwiekbądź rodzaju zwierzyny, jest kradzieżą — jak każde inne przyswojenie sobie cudzej własności. Szkodniki więc myśliwcy, powinni być tak, jak inni złodzieje uważani, przez sądy przełożone sądzonymi, i karanymi.

Aby dać dowód, jak surowo zapatrywano się na kłusownictwo, przytoczę jeszcze inne ustępy tego patentu. I tak §. 21 opiewa: „Kto o zatajenie lub przechowywanie szkodnika myśliwego przekonanym zostanie, ten równie jak i sam szkodnik powinien być przytrzymanym i sądowi oddanym.“ Zaś w §. 25 tegoż patentu czytamy: „Gdyby uzbrojony złodziej zwierzyny w jakim okręgu polowania na wołanie myśliwych nie poddał się i bronić się usiłował, natenczas wolno jest myśliwym strzelać w celu uchronienia się od niego“.

Zastanowiwszy się nad tymi tu przytoczonymi paragrafami, musimy przyznać, że te prawa są dla „złodziei zwierzyny“ bardzo surowe. Więcej, niż dla zwyczajnych złodziei, kradnących pierwszą lepszą rzecz, bodaj nawet pieniądze z kasy, bo do takich strzelać nie wolno.

A teraz przypatrzmy się kłusownikom.

Jest ich dwie odmiany. Jedni do wykonywania swego procederu używają li tylko strzelby. Natomiast specyalnością drugich są sidła, druty, kozulki i t. p. Ci ostatni, to są najgorszej kategoryi złodzieje leśni. Im chodzi tylko o to, ażeby coś złowić, respective ukraść i dostać za to trochę grosza. Gdybym był sędzią, karałbym tych potworów bez litości. Takiemu złodziejowi zwierzyny jest to zupełnie obojętne, czy w zastawione przez niego sidła złapie się sarna lub kozioł, bo on jedno i drugie za równie marną cenę sprzeda żydkowi w najbliższem miasteczku, lecz w każdym razie coś za to dostanie. A trud jego jest bardzo niewielki. Wieczorem zastawi sidła, a rano idzie zobaczyć, czy jest co, lub nie ma. Największą ma tylko trudność taki rozbójnik leśny z ukryciem się ze swym rabunkiem.

Ci zaś kłusownicy, którzy do swych łowów używają jedynie strzelby, to zupełnie inna kategorya ludzi. Oni są — bądź co bądź — *sui generis* myśliwi. Ich jakaś nieprzeparta siła popycha i prze do lasu na stanowisko, gdzie spodziewają się na pewno spotkać ze zwierzem. Taki dla przyjemności zrobienia strzału będzie stać na tem stanowisku godzinami, — nieruchomy jak słup, zapierający w sobie oddech. On cały — stojąc tam — zamienia się w słuch, a przy każdym szmerze zbliżającej się zwierzyny drgają mu nerwy i pulsa żywiej biją. — Ten stanowczo woli strzelić kozła lub jelenia, aniżeli kozę lub łanię. Tamci na sidła chcą zwierzynę ukraść, ci zaś chcą — upolować, a to jest wielka różnica. To też i ci — jakkolwiek dopuszczają się bezprawia, jednakże stoją o całe niebo wyżej od tamtych. Temu nie rozchodzi się o to, co i ile on zarobi, — lecz on chce strzelić celnie i zręcznie. — A namiętność, to matka wszelkiego złego w życiu człowieka, jest tak silną, że ten człowiek naraża siebie często na zgubę, aby tylko tej namiętnośei dogodzić. Tych więc sądy powinny inaczej sądzić i karać, aniżeli tamtych rabusiów, którzy tylko dla lichego zarobku idą do lasu i tępią zwierzynę. Wolę dziesięciu kłusowników, którzy ze strzelbą idą do lasu, aby tam upolować, jak jednego złodzieja zwierzyny, który sidła zastawia. A tych jest więcej, bo ściśle biorąc, to i owe baby i dzieci, które to idą do lasu zbierać gałęzie lub poziomki, jeżeli gdzieś mogą wynaleźć gniazdko, zabierają co mogą. Ci także są złodziejami tępiącymi leśną zwierzynę. Tacy nie pogardzą maleńkim zajączkiem, a młodą sarenkę uważają za specyał.

Jest to rzecz trochę dziwna, a jednak nie dająca się zaprzeczyć, że żadna zaraza nie krzewi się tak szybko w danej miejscowości, jak kłusownictwo, zwłaszcza to najpodlejsze, na druty. Są okolice, wioski, których mieszkańcom nigdy nawet się nie śniło, że kiedyś będą łowić zwierzynę. Nagle pojawia się z okolicy zarażonej kłusownictwem parobek i ten, pasąc konie obok lasu, lub co gorsza w lesie, widzi, którędy zwierzyna chodzi do wody. Przy pierwszej sposobności będąc w mieście, kupuje sobie drutu parę łokci i na zwykłej ścieżce zwierzyny zastawia sidła. Skutek przeważnie jest niezawodny. Nad ranem, lub jeżeli noc księżycowa, to około północy, ma już coś w sidłach (kozulkach). To niesie do żydka pierwszego lepszego i ma na niedzielę grosz świeży, aby napić się i zafundować kamratom. — Przy kieliszku idzie pogawędka żywo, a że w każdym człowieku tkwi chęć pochwalenia się swymi czynami, więc i on swym „najserdeczniejszym“ opowiada, jak to można łatwo przyjść do paru szóstek. Nasienie w ten sposób rzucone szybko i pewno wschodzi i wnet w wiosce kłusownictwo się rozbudza tak, że nawet synowie zamożniejszych gospodarzy przestają myśleć o swych zwykłych zajęciach, a tylko myślą o tem, jakby podpatrzyć chody zwierzyny i na nie sidła zastawić. Taka zaraza jest prawie niemożliwą i na wytępienie jej nie ma sposobu. Nawet najlepiej zorganizowana straż leśna nie wiele tu zdziałać może. Wynaleźć kłusownika, który strzela do zwierzyny, jest łatwiej, bo odgłos strzału go zdradza, ale tego, kto sidła po cichu zastawia, znaleźć trudno. A chociaż przypadkowo uda się go złapać i oddać sądowi, to przy dzisiejszym prądzie bronienia „biednego ludu“ taki złodziej, taki tępiciel zwierzyny, dostanie jako karę 24 godzin aresztu — potrzebne takiemu włóczędze nocnemu do dobrego wyspania się w areszcie.

Sąd bowiem sądzi tylko ten jeden przypadek przy którym go złapano, powiada, że to było warte kilkadziesiąt centów, bodaj nawet dwa reńskie i odpowiednio do tego karę wymierza. To też nie należy się dziwić, jeżeli ten lub ów strażnik lasowy złapawszy *in flagranti* takiego złodzieja zamiast prowadzić go do sądu, sam mu karę wymierzy, która może z kodeksem nie jest zgodną, ale, *errare humanum est*, odpowiada sytuacyi. Lecz tymi czasy nie tylko przez takich, jak to powyżej wskazałem, rozsiewa się ta zaraza. Dziś powstało wielu mędrców, którzy chcąc się wybić schlebiają tłumom. Proszę przysłuchać się mowom kandydackim niektórych panów, którzy chcą być wybrani posłami, jak ci umieją krytykować obecnie obowiązującą ustawę łowiecką i jak oni tłumaczą ciemnemu ludowi przysługujące mu w tym kierunku prawa. Przedewszystkiem twierdzą że zwierzyna to nie jest czyjaś własność, lecz własność ogółu, jak wrona lub bocian itp. To też polowanie powinno być każdemu dozwolonem. Lud, któremu podobne brednie bardzo się podobają, wierzy w to wszystko

tem silniej, że takie mowy kandydackie w czasie wyborów wygłaszane są publicznie, co nadaje im pewną powagę. Następstwem tego jest powiększenie się kłusownictwa i to tego w najgorszym gatunku. Trudno bowiem wymagać, ażeby rząd mógł zgodzić się na podobne zapatrywania nietylko na prawo własności, ale na łowiectwo krajowe. Wypadałoby w takim razie ludności wiejskiej tak mało oświeconej wydawać w nieograniczonej liczbie karty na broń t. z. „waffenpassy“. — Następstwem tego byłoby, że ci ludzie, którzy obecnie przy lada okazyi biją się na pięście, czasami tylko używając siekier lub kołów, wtenczas mając broń pod ręką, strzelaliby do siebie przy każdej kłótni. Lecz ten ludek słysząc od takiego pana kandydata, że zwierzyna jest własnością ogółu, a więc i jego, a nie mając strzelby, idzie z drutem do lasu i zastawia sidła. Z początku nie idzie mu to zręcznie, ale wprawa wyrabia mistrzów, więc i on z czasem także się udoskonala.

Wkrótce wie on już którędy sarny przechodzą, któremi ścieżkami zajączki na żer się przesmykują itd. Zwłaszcza na śniegu zadanie jego jest bardzo ułatwione.

Do rozwijania się kłusownictwa przyczyniają się także, wprawdzie bezwiednie, myśliwi z miasta. Taki pan, przypuśćmy kupiec lub zamożniejszy restaurator, dla miłości sportu i szyku wydzierżawia gdzieś na prowincyi polowanie gminne. Ponieważ za nie płaci dosyć drogo, bo jeden drugiego podkupuje, więc nie chce grosza na to łożyć, ażeby na wydzierżawionym terenie trzymać jakiego dozorcę. Przeciętny kłusownik wie o tem bardzo dobrze, że pan dzierżawca pojawi się co najwyżej raz na tydzień tj. w niedzielę. Naturalnie wtenczas on na łowy nie idzie, nareszcie musi trochę odpocząć, bo znów przez cały tydzień będzie polować aż do niedzieli rano.

Kończąc stawiam życzenie, które spodziewam się koledzy myśliwi chętnie ze mną podzielą, a mianowicie życzę z całego serca, aby wszyscy sędziowie nasi stali się myśliwymi i zrozumieli, że złodziej zwierzyny, to nie tylko złodziej, ale dusiciel.... bo wtenczas, sądząc kłusowników, sądziliby ich surowiej, co na zmniejszenie kłusownictwa znakomity wpływby wywarło.

DZIKIE GOŁĘBIE.

(Wspomnienie z młodości).

Napisał

ABGAR SOŁTAN.

[Ciąg dalszy]

Epizod ten omal, że nie spowodował zerwania małżeństwa lekkomyślnego Jasia z posażną Emilką, nawet przez kilka tygodni narzeczona nie chciała go widzieć... Przez wpływy jednak życzliwych przyjaciół, Jaś potrafił zatrzeć niemiłe wspomnienia z wieczoru pomianowieckiego w umyśle swej narzeczonej i pogodzili się ci państwo, z tem jednak, że Emilka wymogła na Jasiu przyrzeczenie, iż na wieczorach nigdy pić wina nie będzie...

Słowa jednak nie dotrzymał nieborak i na każdym wieczorze, już nawet później, żonaty, zawsze przebierał trochę miarkę... A oświadczanie się starym ciotkom po pianemu, przeszło było u niego wprost w nałóg.

Wszystko musi się na świecie skończyć, to też skończyła się nasza wesoła zabawa w Pomianówce. Myśmy odjechali ostatni, przesiedziawszy wszystkich gości. Przed wyjazdem jeszcze spłataliśmy do spółki z Narcyzem figla panu Poraj-Rozenowi, za który ja specyalnie dostałem wielką burę od babuni... Ów stary kawaler, a utrapiony konkurent Jadwini, za którą przepadaliśmy wszyscy, nie cieszył się tak samo sympatyą Narcyza, jak i moją, a Kondraszek od pierwszej chwili spotkania z nim, czuł doń wstręt nieprzezwyciężony... Zrobiliśmy więc we trzech naradę jeneralną i wymyśliliśmy nieomylny sposób wypłoszenia go z Pomianówki raz na zawsze... Techniczne wykonanie tego projektu, wziął na siebie Kondraszek. Wszystko było trzymane w jak największej tajemnicy.

Gdy na trzeci dzień po balu wszyscy domowi byli zebrani na moście zwodzonym dla żegnania odjeżdżających pań i zachodziły powozy jedne po drugich, zajechał i powóz Poraj-Rozena. Mężczyźni obznajomieni z turkotem powozów byli wprost zdumieni hukiem jakimś dziwnym, jaki ekwipaż niepoczesnego konkurenta wydawał, huk ten przypominał zupełnie odgłosy, jakie wydaje próżna beczka. toczona pospiesznie, po twardej, nierównej ziemi. Zdumienie to rozpłynęło się wnet w homerycznym śmiechu, gdy powóz stanął przed gankiem a pan Poraj-Rozen podniósł fartuch, ażeby usiąść, okazało się wówczas, że na dnie powozu spoczywały cztery ogromne dynie, które bijąc o siebie i o drzwiczki wydawały te głuche odgłosy.. Poraj-Rozen zaciął zęby z gniewu, wskoczył czemprędzej do powozu, zakrył pospiesznie fartuch i przy akompaniamencie ponurej muzyki arbuzowej i wesołego śmiechu zebranych gości, ruszył za bramę...

Naturalnie, że babunia domyśliła się, że i ja musiałem brać czynny udział w tym psim figlu, to też wysłuchałem reprymendę należytą, nie przyznałem się jednak do niczego i ani Narcyza, ani Kondraszka nie zdradziłem.

Później w życiu żałowałem nieraz bardzo tego kroku. Zawzięty Poraj-Rozen także domyślił się, kto był sprawcą tego despektu i mścił się na mnie przez długie lata

Po obiedzie tego dnia i babunia kazała zaprzęgać. Pożegnaliśmy się z krewnymi serdecznie; ja specyalnie żegnałem się najserdeczniej z Kondraszkiem, którego szczerze i głęboko pokochałem. Rozstanie nasze nie miało być długiem, bo Andrzej stanowczo obiecał przyjechać za tydzień i przywieźć Kazika na dłuższy czas.

Pamiętam, że siadłszy do babuninej karetki, zapadłem w głęboką zadumę, podczas której snuły mi się przed oczyma przeważnie widziadła, dziwne jakieś halucynacye, których naczelne miejsce zajmowała naturalnie panna Jadwiga, tuż obok niej Kondraszek i cała masa okropnych bestyi apokaliptycznych, smoków i potworów; dziwadła

te zabijaliśmy obaj do współki z Kondraszkiem i zwlekaliśmy do stóp przerażonej pani mych myśli, a ona darzyła mnie uśmiechem i podzięką... Ale tylko mnie, wyłącznie mnie.. Kazik nawet nie dziwił się temu — mało mu snać na tem zależało...

* * *

Bujne te marzenia skończyły się w bramie naszego domu.

Michał stuknął niemiłosiernie o próg bramy, jak to zwykł był robić zawsze... Babunia krzyknęła z przestrachu. Okrzyk ten jednak został zagłuszony siarczystem paleniem z bata poczciwego, starego Michała, niedowidzającego już trochę pod starość — i wnet kareta stanęła jak wryta u podjazdu.

Któż z was, czytelnicy, mili bracia z pod Nemrodowego znaku nie wspomina z rozczuleniem rodzicielskiego domu, domowego ogniska? Każdy, czy w pałacu się rodził, czy na świat przyszedł w niskim domku o słomianej strzesze, westchnie z rozczulenia i nieraz łza spłynie po ogorzałem obliczu na pamięć tych dni szczęśliwych i rozkosznych, które się przepędziło w gronie rodzeństwa pod ojczystym dachem.

W owym czasie byłem już prawie gospodarzem w domu; ojciec mój nie żył już od lat kilku, a matka, kochająca nas nad życie, była dość słabą dla mnie i pozwalała mi robić, co mi się żywnie podobało. Porałem się też po domu i gospodarstwie jak szara gęś. Wysiadłszy też z powozu, nie śpieszyłem się pójść przywitać panną Zofię, nauczycielkę mych sióstr, z którą prowadziłem ustawiczną wojnę, ani też pomyślałem o starej pannie Annie, rezydentce, a mej opiekunce i zagorzałej stronniczce — tylko pobiegłem galopem do stajni. Miałem już wówczas angielskiego konia półkrwi po Riwerze, którego dostałem od mego wuja śp. Stanisława Pieńczykowskiego i z tej przyczyny nazwałem go «Staszek». Koń ten dotychczas był jedyną moją nadzieją; myślałem, że on podbije twarde serce panny Jadwigi. Tymczasem ze «Staszkiem» nie tęgo mi szło; koń był silny, potężny i zuchwały — a ja niesłychanie lekki i nie bardzo jeszcze silny, wskutek tego Riwerczak robił ze mną co chciał i nieraz stał się powodem kompromitacyi wobec mego przedwczesnego ideału.. W stajni zastałem wszystko w porządku, tylko chłopak Mykita, którego z «poganiacza» awansowałem na g r o o m a skarżył mi się, że nie może nosić butów, które mu darowałem przed wyjazdem do Pomianówki, bo są za ciasne i pieką go szalenie... Była to straszna klęska dla mnie, chciałem bowiem jutro przy niedzieli konno w asystencyi Mykity, odzianego w nowy drelich i moje stare buty, pojechać do parafialnego kościoła. Skonstatowana niepomierna wielkość Mykitowych «pedałów» stawała temu na przeszkodzie — bosy przecież w żaden sposób nie mógł, bo nietylko mnie, ale i staremu dońcowi, który zazwyczaj pocztę i mięso woził, a teraz został nagle awansowany na wierzchowca dla improwizowanego g r o o m a — zrobiłby tą pedałową nagością wstyd okropny.

Mimo tak wrogo kształtujących się okoliczności, nie dałem za wygraną: kazałem Mykicie ubrać się w buty, co mu w rzeczy samej dość trudno poszło i wyperswadowałem mu, że właśnie powinien w nich od czasu do czasu chodzić, to mu te niepomiernie wielkie nogi zmaleją i przybiorą kształt nóg cywilizowanego człowieka, że nawet więcej się będzie płci pięknej podobał obuty w pańskie lakiery, niż z bosemi nogami... Musiałem mówić bardzo przekonywująco, bo chłopak, choć krzywił się i stękał, przyznał mi w zupełności racyę... Jutrzejsza eskapada była już zapewniona — wszystko inne potrzebne do uskutecznienia mego rycerskiego zamiaru, było zupełnie w porządku.

Przy kolacyi ogłosiłem *«urbi et orbi»*, że mam wspaniały projekt jechania jutro do kościoła na koniu.... Wszyscy przyjęli tę wiadomość z uznaniem, a nawet pewną dumą, siostry moje i ja sam nawet mieliśmy «Staszka» zą ósmy cud świata, za osobistość końską dorównywująca E k l i p s o w i lub H e r o d o w i; miło więc wszystkim było, że popiszę się w parafii tak pięknym i doskonałym koniem...

Jedna tylko panna Zofia, która nie wiem dla czego, występowała zawsze w opozycyi, kiedykolwiek domyślała się w mych czynach pierwiastku sentymentalnego, zaczęła żartować z mego zamiaru i nazwała go bez ceremonii — donkiszoteryą. Z tego powodu wynikła zaciekła sprzeczka pomiędzy nią a panną Anną, która znowu twierdziła, że mój zamiar jest świetny, że zgadza się zupełnie z całą naszą tradycyą rodzinną i że mój ojciec i mój dziad bardzo wiele konno jeździli, więc i ja powinienem dużo na koniu jeździć. Wreszcie zakonkludowała:

— Tak, tak! I nieboszczyk pan do śmierci na koniu jeździł... I nieboszczyk starszy jeszcze pan na tydzień przed śmiercią kazał sobie konia siodłać, to niech i panicz to samo robi... I cobym się wtrącała do nie swoich rzeczy...

Panna Zofia przygryzła z gniewu usta, ale opanowała się w porę i nie odpowiadając na zaczepkę wprost do niej skierowaną, szepnęła tylko niby sama do siebie:

— Tamci panowie musieli wybornie jeździć... A nasz benjaminek — tak mnie nazywała, gdy była w złym humorze — nie posiada tego kunsztu w wysokim stopniu... Dziwię się, że mu pozwalają na dużych i rączych koniach jeździć... Wiele razy na tego waryata siada, to truchleję, że mu się co stanie.

Przerwała na chwilę... We mnie krew zakipiała; ściskałem nóż serwisowy w dłoni i miałem niekłamaną ochotę cisnąć nim w dokuczliwą przeciwniczkę... Nie śmiałem jednak ani słowa odpowiedzieć na jej ironiczne przycinki, bo już raz za kłótnię z nią dostałem był potężną burę od babuni.

Panna Zofia po chwilowym odpoczynku prawiła dalej:

— No i może być dekonfitura... A nuż kawaler z konia spadnie przed panną Jadwigą... To dopiero śmiać się będzie.

Nie mogłem tego dłużej znosić. Czułem, że jeszcze jedno takie dokuczliwe słowo, to wybuchnę wściekłym gniewem i stracę zupełnie panowanie nad sobą. Zerwałem się więc od stołu, niedopiwszy herbaty i jak szalony wyleciałem z pokoju.

Biegałem po ogrodzie, chwytając gwałtownie powietrze w płuca; w oczach miałem piekące łzy... Tak, tak! czułem, że ona, ta nieznośna panna Zofia, miała słuszność, ja jeszcze nie umiałem tak jeździć, jak jeździł ongiś mój ojciec i mój dziad... Czułem to doskonale... Czułem, że wskutek mej złej jazdy „Staszek“ nie chodził tak, jakby chodzić powinien. Doskonale to rozumiałem, że mój wierzchowiec ma „zaciągnięty pysk“ i najczęściej tam idzie, gdzie jemu, a nie mnie się zachciewa... Przyznawałem i to, że wiele razy chciał mnie unieść to i uniósł, a ja mu w tem przeszkodzić w żaden sposób nie mogłem.

— Tak! prawda! — rozumowałem w duchu — wszystko prawda! Ale dlaczego ona mamie i babuni po-

wiedziała, że ja mam z konia spaść przed panną Jadwigą... Czy po to, żeby się mama i babunia domyśliły, że mnie tak bardzo na pannie Jadwidze zależy?

Zacisnąłem z wściekłości pięści i uczułem, że palące łzy spływają mi po twarzy. Nienawidziłem w tej chwili panną Zofię całem sercem, sarkazmem swym dotknęła mnie była w najboleśniejsze miejsce, a takie dotknięcie długo się pamięta i nie łatwo się zapomina.

Chodziłem długo po cienistych alejach, starając się napróżno wrócić do zupełnej równowagi. Po jakiej pół godzinie takiego błądzenia usłyszałem po za sobą ciche, skradające się kroki; zatrzymałem się na chwilkę i wnet ujrzałem tuż obok mnie moją siostrzyczkę Andzię, drugą z rzędu po Maryni, która przybiegłszy do mnie schwyciła mnie za szyję i zaczęła gwałtownie całować po czole i twarzy, wspinając się do tego nadzwyczaj zabawnie na palce.

— Dobrze jej tak — wołała pospiesznie — słyszałam wszyściuteńko... Ty poszedłeś, a my zaraz wstaliśmy od stołu. . Miałam grać po herbacie na tym nieznośnym fortepianie... Zasiadłam sobie w najlepsze, a panny Zofii nie ma... Co to może być, myślę sobie, żeby się ona do fortepianu spóźniła, to niemożebne... Aż tu nagle słyszę z babuńcinego pokoju... Wiesz, poprostu burę... Powiedziała jej babuńcia: „Poco takie myśli podsuwać chłopcu“... Co to znaczy niewiem. A później mówiła: „Pani jest bez taktu... Tak chłopca drażnić nie można, a gdyby się był uniósł i pani coś niegrzecznego powiedział“. . Tak długo jej babuńcia nagadała... Przyszła taka zła, że aż strach, zobaczyła mnie przy fortepianie, siadła, kazała mi grać z kwadrans, potem powiedziała, żem osioł kwadratowy, żem powinna się uczyć grać na cymbałach i kazała iść spać... A ja przyszłam tu, żeby to wszystko tobie powiedzieć... Nie smuć się braciszku!. Dostała ona za swoje; babuńcia bardzo się na nią gniewała.

Pocałowałem kochaną Andzię w usta i uczułem, żemi się w rzeczy samej lżej zrobiło. Najwięcej mnie pocieszyło to, że przekonałem się, iż mam w Andzi stronniczkę tak pewną, że nie bała się wśród ciemności panującej w ogrodzie szukać mnie po alejach, aby mnie uwiadomić o pogromie mego nieprzebłaganego przeciwnika.

(C. d. n.)



Za falą wody
Płynie w dal
Myśliwskich dumań bieg,
Drży cicho wietrzyk
W gąszczy drzew
I szumi rzeki brzeg...

Z lulki błękitny
Idzie dym
Jako na kanwie ścieg.
A z falą wody
Płynie w dal
Myśliwych dumań bieg...

„WILCZY KSIĄŻĘ".

Z opowiadań starego ukraińskiego strzelca.

(Ciąg dalszy.)

— Sam pan przecież wie — dodał starzec — że niejedno drzewo może w ten sposób przeleżeć lat tysiąc. No, a kości tak tam były nawalone, że i opowiedzieć trudno: bieliły się dokoła całymi stosami! Niektóre jeszcze mięsem obciągnięte, tu zwierz jeszcze cały w skórze leży, sierść ma: widać, że tylko co przewalił się na bok i zdechł na miejscu I leśniczy ten widział także, jak się tam schodziły zwierzęta, aby wydać ostatni dech. Przeszło dwadzieścia sztuk naliczył ich w krótkim czasie, gdy siedział i odpoczywał. I ryś, i zając, i łoś, i niedźwiedź i żubry i różne, różne zwierzęta schodzą się tutaj na swój cmentarz. Niejedno z nich umiera ze starości, niejedno wskutek rany, którą mu człowiek zadał na polowaniu; wszystkie one wloką się albo do jeziora, albo też do ruczaju — jak mówią, aby się raz jeszcze przed śmiercią napić wody. Dlatego też na brzegach bieli się najwięcej kości zwierzęcych i różnych rogów.

Tam też, opowiadał leśniczy, znajduje się i „ptasi cmentarz". . bo tego ptactwa niezliczone chmary siedziały po gałęziach. I ptaki też giną ze starości — siędzie na gałęzi i czeka końca. Tam już nie jedzą nic i nie piją, a wszystkie siedzą szeregiem, nastroszywszy się, zamknąwszy oczy, póki nie padną martwe na ziemię. Spadają tak z drzew, jak liście w jesieni Podniósł leśnik jednego głuszca za skrzydło, a nie czuć go było wcale w ręku, gdyż pozostało tylko samo pierze, a reszta już stlała.

Jednakowoż — dodał Szymon — chociaż to i zwierz się nazywa, a jednak obraził się, że człowiek samowolnie zalazł na jego cmentarz. Wiele z tych zwierząt, opowiadał leśniczy, już kończyło, a jednak poczuło chrześcjańską duszę: powiada, cicho było, tylko tu i ówdzie słychać było jakiś jęk, aż tu naraz, jak się zerwie nieczysta siła! Boże drogi! Odezwały się wszystkie głosy, sierść na niektórych stanęła dębem — tak się jeszcze burzyły przed śmiercią.

Wiadoma rzecz — objaśnił Szymon — mało które z tych zwierząt widziało twarz ludzką...

No i oto... niedaleko od tych miejsc – dodał po chwili milczenia stary strzelec — Bóg pozwolił mi zobaczyć i „wilczego księcia".

— Jakiego tam jeszcze księcia? — zapytał z lekceważącym uśmiechem Oleś, a oczami jakby zapraszał mnie, abym i ja zadrwił ze starego.

— A czyż to nie wiesz — surowo odparł Szymon — że i ptak i zwierzę i każde inne stworzenie ma swego „księcia" czyli „pasterza"? Naprzykład niewielkie to stworzonka mrówka albo pszczoła, a przecież mają swoje matki. I prawa swoje mają i porządki uczciwe zaprowadzają... bez tego nie można — na prawie i porządku cały świat Boży stoi. A matka najdroższa ze wszystkiego: jeżeli cały ul wyginie, a matka zostanie, to pszczoła znowu się zaniesie i zabrzęczy, a gdy jedna tylko matka przepadnie, to i cały ul umilknie i zginie. Tak samo jest u myszy, u zajęców, u lisów — wszystkie mają swego „księcia". On to przegania je z miejsca na miejsce, on je uczy, jak żyć na świecie, karmić się i od biedy chronić.

— No, no, Szymonie — wmięszałem się do rozmowy — opowiedźcie mi, proszę, gdzieżeście to widzieli tego „wilczego księcia"?

— Eh, proszę pana — rzekł starzec, marszcząc brwi i pragnąc widocznie zakończyć rozmowę — to długa historya. Innym razem, kiedyś opowiem, jeżeli pan pozwoli... A zresztą nie stało się to przecież wczoraj.

Widząc jego wykręcanie się, poczęstowałem go znowu śliwowicą i staruszek niemal odrazu poweselał.

Wstrząsnąwszy gęstymi, siwymi włosami, Szymon pogładził wąsy i odkaszlnął.

— Stało się to — zaczął — w roku pańskim 1829 u pana Tyszkiewicza. Bogaty to był pan, a u siebie królem był. Nastał dzień jego imienin. No, naturalnie zjazd był ogromny. Po całym powiecie kazał ogłosić, że w puszczy będzie polowanie. Nasze dzisiejsze polowania — to ani porównywać ich nie można z dawniejszemi. Na polowanie u pana Tyszkiewicza zganiano naród z całego powiatu. a lasy były słynne, nikomu nie wolno było nietylko polować lub rąbać, ale nawet na grzyby nie puszczała straż nikogo. Na polowaniach u pana Tyszkiewicza ani narodu ani psów nie zliczył, tyle tam było wszystkiego. Szlachty było co niemiara, a każdy ze smyczą, niejeden miał dwie, trzy i cztery i więcej — jeden tylko między nimi — pan Stocki — przyjechał sam z dwoma tylko psami: jeden szarouchy, długi, a drugi ciemnokasztanowaty — „Grubianem" pamiętam nazywali go — zdrowy i silny pies. I koń pod panem Stockim nie był wysokiego rodu, a i on sam nie bardzo pokaźny. A jednak dumny był niesłychanie: nieraz toby nikt do niego nawet na dzikim koźle nie podjechał. Ledwie się tylko posprzecza — zaraz wąsy nastroszy jak karaluch, oczy wytrzeszczy i zaraz chwyta za szablę...

Patrząc na jego mizerny wygląd, psiarki pańskie zaczęły się z niego wyśmiewać, ależ dał on im też bobu dał, i samego pana Tyszkiewicza nie minęło.

— Eh, wy! — wrzasnął — siacy tacy, komu się to tu chwalić! A nie wiecie o tem, że gdyby sprzedać wszystkie wasze psy i was w dodatku — to i to nie wystarczyłoby na kupno jednego z moich psów, chociażby tego „Grubiana"! Żywym nie chcę być, jeżeli ze wszystkich waszych smycz choć jedna para nóg może się porównać z moim psem!

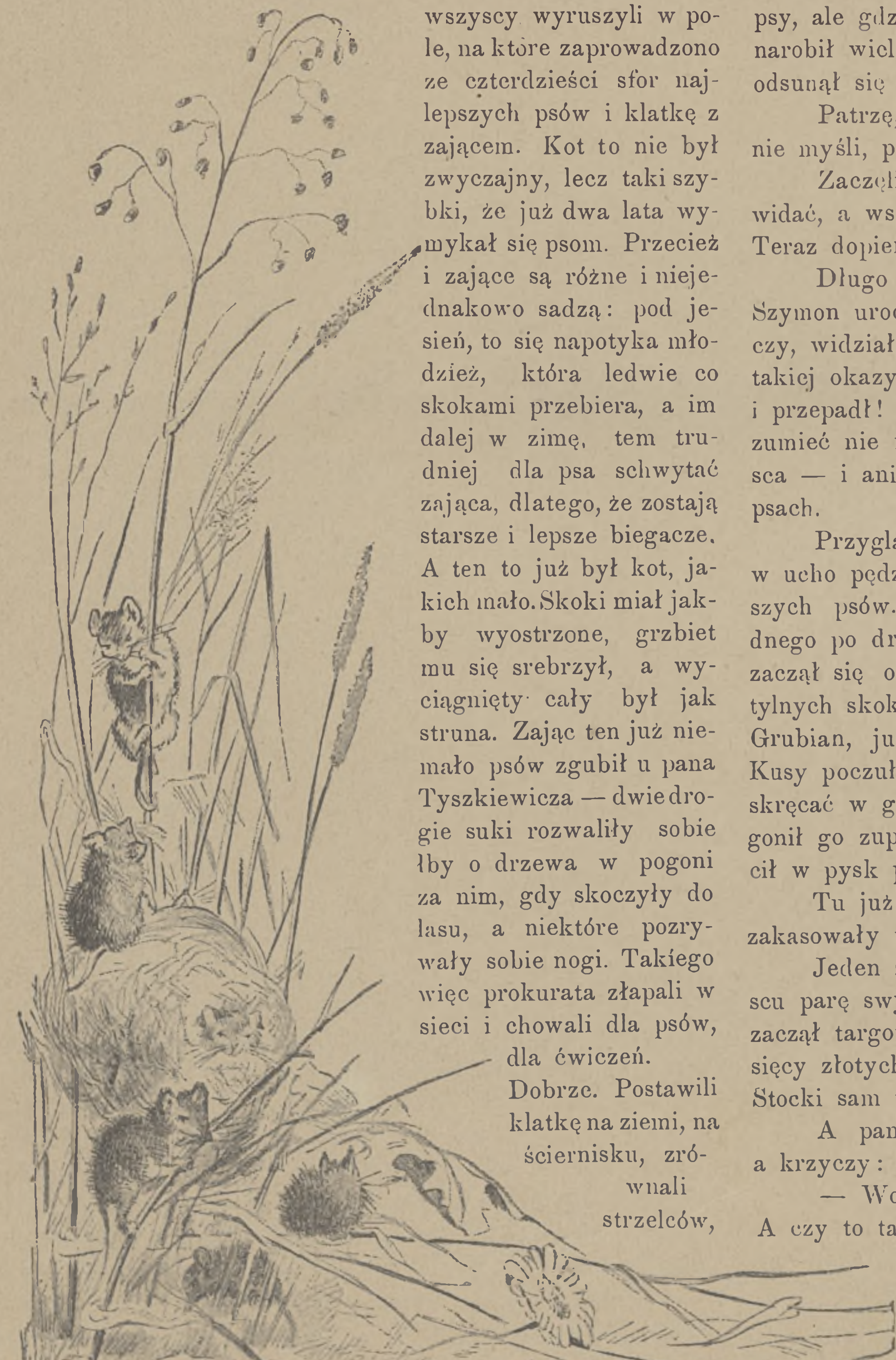
Jakby na nieszczęście, nie pamiętam już po co, wyszedł do nas dworzanin pański i usłyszał te przechwałki. Obraził się, że drobny szlachcic tak się wyśmiewa z jego pana. Natychmiast zawrócił do pałacu i powiedział panu Tyszkiewiczowi i wszystkim jego jaśniewielmożnym panom, że szlachcic Stocki okrył ich sromem wobec całego zebranego narodu. A stało się to właśnie, gdy podawano trzecią potrawę i wszyscy panowie już sobie dobrze podjedli i podpili. Pan Tyszkiewicz zmienił się na twarzy, skoczył z aksamitnego fotelu, rzucił złoty kubek na podłogę i wrzasnął na całe gardło... Panowie także skoczyli i zaczęli wyciągać szable... o mały włos, a byłoby poszło na ostre. Zaczynają wrzeszczeć:

— Przyprowadzić tu Stockiego i psa jego przywieść na podwórze!

Naturalnie w mig stawiono obu przed pańskie oczy. I rzeczywiście, pies był doskonały, jak z żelaza ulany; jednakowoż panowie zaczęli się sprzeczać. Ten krzyczy: „moja suka lepsza od niego!“, ten wysławia swoją sforę, jeden mówi, że „Grubian“ ma za wielką głowę i pysk niekształtny, drugi wrzeszczy, że ma zadnie nogi cielęce. Harmider i wrzask był okrutny, że jeden drugiego nie rozumiał. Stocki wsunął ręce za pas, wąsy nastroszył i chodzi jak kogut. Aż nagle, jak podskoczy do pana Tyszkiewicza, jak się nie zacznie walić kułakiem w piersi i krzyczeć na wielkich panów — wszyscy od niego odstąpili.

— Jeżeli choć jeden z waszych psów dorówna przy zającu mojemu Grubianowi, albo też uprzedzi go w powaleniu starego wilka to — powiada — zgadzam się, aby mnie samego zaszczuto psami, a prócz tego daję w zakład folwarczek mój i mój klejnot herbowy. Tylko i wy panowie, stawiajcie zakłady, jak przystoi.

Powstał znowu harmider i wrzask taki, że o mało do szabel nie doszło. Jednakowoż postanowiono natychmiast jechać w pole i wypróbować psy. W jakąś godzinę potem wszyscy wyruszyli w pole, na które zaprowadzono ze czterdzieści sfor najlepszych psów i klatkę z zającem. Kot to nie był zwyczajny, lecz taki szybki, że już dwa lata wymykał się psom. Przecież i zające są różne i niejednakowo sadzą: pod jesień, to się napotyka młodzież, która ledwie co skokami przebiera, a im dalej w zimę, tem trudniej dla psa schwytać zająca, dlatego, że zostają starsze i lepsze biegacze. A ten to już był kot, jakich mało. Skoki miał jakby wyostrzone, grzbiet mu się srebrzył, a wyciągnięty cały był jak struna. Zając ten już niemało psów zgubił u pana Tyszkiewicza — dwie drogie suki rozwaliły sobie łby o drzewa w pogoni za nim, gdy skoczyły do lasu, a niektóre pozrywały sobie nogi. Takiego więc prokurata złapali w sieci i chowali dla psów, dla ćwiczeń.



Dobrze. Postawili klatkę na ziemi, na ściernisku, zrównali strzelców, a panowie konno odjechali na bok, aby im było widno i paniczyki także konno, a starsi w karocach i w najtyczankach. A narodu się zwaliło chmara, chmara!

Patrzymy, a pan Stocki sadzi kłusem, ze swymi psami. Jedzie, ogląda się dokoła, zupełnie tak, jak gdyby ta cała historya wcale go się nie tyczyła.

Zakomenderowali: „raz, dwa i trzy!“ i puścili kota. Przedtem jednak urwali szarakowi osmyk, aby pędził jeszcze szybciej; jak nie krzykną, Boże litościwy, jak wrzasną — zawołał stary strzelec, chwytając się obiema rękami za głowę — a zając, jakby sam Antychryst poniósł się po polu. Psy wysunęły się za nim ze wszystkich smycz i kupą walą za nim.

Z początku zając w biegu obejrzał się i tu i tam i puścił się tak szybko potem, że aż błoto pryskało z pod tylnych skoków, a potem wybrał się na wygon i jazda!

Psy z początku zdawały go się naganiać, szczególniej suka pańska, rasowa, wysunęła się naprzód i zdawało się, że już go trzyma w pysku, kot szelma jednak odwinął się w bok, a suka przegnała go. Dopędziły kota zda się dwa psy, ale gdzietam!... Wywinął im się aż miło. Wstydu im narobił wielkiego... A tu zając już się dobiera do krzaków odsunął się od psów na kilka staj!

Patrzę, a pan Stocki jeszcze swoich psów puszczać nie myśli, poprawia się tylko na siodle i pali fajeczkę.

Zaczęli się wszyscy dziwować. Zająca ledwie już co widać, a wszystkie psy już się w sznur za nim wyciągnęły. Teraz dopiero pan Stocki pokazał, jaki zuch z niego.

Długo ja już proszę pana żyję na świecie — rzekł Szymon uroczyście — sam należałem do lepszych dojeżdżaczy, widziałem też wiele i napatrzyłem się na niejedno, ale takiej okazyi dotychczas nie widziałem. Stocki tylko huknął i przepadł! Zkąd się to wszystko wzięło, do tej pory zrozumieć nie mogę. Szkapina jak sokół zerwała się z miejsca — i ani śladu ni po niej, ni po panu Stockim, ni po psach.

Przyglądam się lepiej, a tam w dali oba psy, ucho w ucho pędzą obok siebie i zaczynają już oganiać pierwszych psów. Patrzę — już ich przeliczyły wszystkich, jednego po drugim. Grubian rozsierdził się widocznie, gdyż zaczął się odsadzać od Kasztana. A i zając już tylko na tylnych skokach się niesie. jakby leciał na skrzydłach, a tu Grubian, już zaczyna go się pytać, gdzie się podział osmyk. Kusy poczuł, że go bieda dościga i zaczął czemprędzej skręcać w gęstwinę — ale już było za późno. Grubian dogonił go zupełnie, rzucił się na niego jednym susem, chwycił w pysk przez pół i jazda z kotem w górę.

Tu już każdy mógł zrozumieć, że psy pana Stockiego zakasowały wszystkie inne, a szczególniej ten Grubian.

Jeden z panów z wielkiego gniewu zastrzelił na miejscu parę swych najlepszych chartów, a pan Tyszkiewicz zaczął targować Grubiana i dawał za niego piętnaście tysięcy złotych gotówką i w dodatku sforę, jaką sobie pan Stocki sam wybierze.

A pan Stocki tylko kułakiem w piersi się wali, a krzyczy:

— Wolę się już pozbawić życia, niż takiego skarbu! A czy to takiego psa można kupić za pieniądze? Otrzymuje go za darmo, ale tylko ten, kto ma szczególne szczęście.

Skończyła się ta historya, panowie sami zaczęli wychwalać i wysławiać Stockiego; piją z nim razem, hulają, goszczą go, to ten, to amten.

Tak z nim przehulali całą noc.

Nazajutrz rano było polowanie w puszczy, o trzy mile. Obóz i furgony z żywnością wysłano naprzód, naganiacze byli rozstawieni, gdzie należy i liny z sieciami poprzeciągane po lesie. Kilka sfor gończych z dojeżdżaczami również w kilku miejscach. Głównym dojeżdżaczem był Kruk z sforą samego pana Tyszkiewicza.

No, naturalnie, polowanie było świetne: kotów i lisów bez liczby, kilkadziesiąt kozłów, dwa jelenie, łoś, młody żubrek, trzy dziki, a o wilkach to nawet mówić nie potrzeba.

Zebrali się wszyscy na polance, rozbili namioty, zapalili stosy i zaczęła się zabawa.

Tymczasem Kruk doniósł, że niedaleko od obozowiska w nocy podwył wilków i że odezwały mu się trzy stare i dwa młode.

Zaledwie ranek zaświtał, polowanie się rozpoczęło. Obstawili wszystko dokoła, jak się należy. Pan mój wziął i mnie ze sobą. Naturalnie, obowiązek nasz jest taki, żeby nietyle polować samemu, ale radować pana i pomagać mu, kiedy tego zajdzie potrzeba. Stanąłem po lewej ręce nieboszczyka pana świeć Panie nad jego duszą. Przyczaiłem się w gęstwinie, niewielkiej coprawda, ale znać w niej było wilcze tropy.

Do południa polowanie szło jak należy: wszystko co było w kotlinie, wybrali, tak że chyba tylko wiewiórka pozostała na drzewie. Wilki też nam się dostały; dwa stare i dwa młode. Jednego młodego i moja sfora wzięła na zęby — rozerwały go psięta jak chuścinę od nosa.

Pan Tyszkiewicz uderzył w róg, dał sygnał na obiad. Myśliwi poschodzili ze stanowisk, dali jeść psom i sami zaczęli się pokrzepiać.

A tu słuch między ludem poszedł, że pan Tyszkiewicz okrutnie się sierdzi na swego dojeżdżacza Kruka.

— Co to znaczy — wrzeszczy — a tożeś się chwalił, że ci się odezwały trzy stare wilki, a tu przywieziono tylko dwa?!

Natychmiast rozkazał wrócić wszystkim na dawne miejsce, a gończym dodać do pomocy jeszcze kilkanaście smycz zapasowych, znajdujących się przy furgonach. Tam też znajdowały się zawsze w pogotowiu konie, do których przytroczone były na łańcuchach jakieś zagraniczne wilkołaki, wytresowane na niedźwiedzi i na dzików.

Wszyscy się zdziwili; co tu szukać w tej kotlinie, skoro nie ma w niej nic? Rzuć dukata, a byłoby go widać! Cały las był przetrzebiony wzdłuż i wszerz.

Jednakowoż stało się inaczej.

Wtedy zrozumieliśmy, że z panem Tyszkiewiczem mało który z myśliwych mierzyć się może.

Dobrze. Pojechaliśmy. (C. d. n.)

PANIE TEGO.

Któż z nas nie znał poczciwego pana Michała? W miasteczku znanym był pod mianem „Panie tego“, z zawodu był aptekarzem, przytem zamiłowanym przyrodnikiem. Z nadejściem wiosny często wymykał się w pole i do lasu, zbierał chrząszcze i muszki, chwytał w siatkę motyle i uradowany zdobyczą, z twarzą rozpromienioną powracał do domu. Wieczorami do późnej nieraz nocy preparował ćmy i motyle, których różnobarwne skrzydła w oszklonych pudłach zdobiły białe ściany w laboratoryum apteki. Nietylko to jednak miał pan Michał upodobanie, w wolnych od zawodowego zajęcia chwilach bawił się też chętnie rybołowstwem i nieraz widywałem go jak wpatrzony w pływaka wędki siedział nieruchomo na brzegu rzeki i z podziwu godną cierpliwością wyczekiwał na pstrągi, nie zrażając się niepowodzeniem, choć często z próżnemi rękoma, pocięty przez komary, powracał do domu. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że wskutek tych rozlicznych upodobań pan Michał zaniedbywał obowiązków swojego zawodu — bynajmniej, człowiek ten ciągle czynny i nadzwyczaj ruchliwy, umiał znaleść czas na wszystko, a choć często wydalał się z domu, apteka przy pomocy prowizora Ernesta prowadzoną była wzorowo.

Bohater nasz był już trochę podstarzałym kawalerem, bo liczył przeszło 40 wiosen, łysawy, krępej budowy, blondyn o jasnych, trochę wypukłych oczach i orlim nosie, W opinii wszystkich dorosłych panien w miasteczku uchodził pan Michał za przystojnego i miłego mężczyznę, a obie panny sędzianki z balkonu naprzeciw apteki często posyłały tęskne spojrzenia w stronę ocienionej winogradem werandy, gdzie pan aptekarz zwykle z gazetką w ręce odbywał popołudniową siestę lub z wybitnemi osobistościami miasteczka radził o sprawach gminy. Mówiono, że pani sędzina, matka panny Misi i Jadzi, zagięła parol na pana Michała, uważając go — i słusznie nawet — wobec jego wcale pokaźnych dochodów z apteki i pięknej realności, za pierwszą „partyę“ w miasteczku. Pan Michał jednak zdawał się być nieczułym nad strzeliste spojrzenia z balkonu, grzeczność i uprzejmość pani sędziny odpłacał równą grzecznością, dla panienek często posyłał kwiaty ze swego ogrodu, w spotkaniu z niemi był ożywiony i rozmowny, ale nie robił żadnych kroków, któreby dowodzić mogły, że ma zamiar starać się o rączkę czy to jednej czy drugiej sędzianki. Mama sędzina tłumaczyła sobie to zachowanie się pana Michała brakiem decyzyi z jego strony, do której z obu nadobnych jej córek ma zwrócić swoje afekta, ale pan Michał ani myślał o tem.

Zarząd domowy w aptece spoczywał od lat kilku w pulchnych rączkach Józefowej, przystojnej i zawsze schludnie ubranej wdowy po woźnym sądowym. Muszę też przyznać, że Józefowa wywiązywała się zawsze jak najlepiej ze swego zadania, a jej pieczywo, zwłaszcza pod jej dyrekcyą wyrastające „baby wielkanocne“, słynęły w całem miasteczku. Wprawdzie pani rejentowa, która każdemu umiała łatkę przyczepić, kilkakrotnie się odzywała, że Józefowa stanowczo jest za młodą i za przystojną, jak na klucznicę w domu kawalerskim przystało, a panna Klocia Zawilska przechodząc raz wieczorem koło apteki usłyszała przez uchylone okno jak pan Michał mówił do Józefowej „moja duszko!“, ja jednak wszystkie te uwagi i plotki puszczałem mimo uszu, nie zwracając na nie za-

dnej uwagi. Pan Michał cieszył się zresztą ogólną sympatyą, w kasynie bywał często i w kółku bliższych znajomych chętnie grywał wista, choć nie miał wiele „Spielgeistu“ i nieraz za złe zagranie znosić musiał gromy pana pocztmistrza. Bronił się wtedy nieborak jak mógł i umiał, co dwa słowa wtrącając swoje przysłowie: „panie tego“.

W kasynie zapoznał się pan Michał i zaprzyjaźnił z moim kolegą szkolnym Stefanem K., właścicielem Ryniowiec i zapalonym myśliwym. Stefan był kawalerem i namiętnie lubił wiseczka, a że w domu brakowało partnera, więc albo sam z nieodstępnym swoim proboszczem zjeżdżał wieczorem do naszego kasyna, albo posyłał konie z zaproszeniem do pana Michała. Do Ryniowiec było blisko, bo zaledwie trzy ćwierci mili murowanej drogi, gospodarz miły, gościnny i serdeczny, nic więc dziwnego, że nasz pan aptekarz chętnie bardzo jeździł na tego wiseczka i tylko, gdy coś ważnego stanęło na przeszkodzie n. p. gdy swoje zbiory motyli nowym jakim uzupełniał okazem, odsyłał wózek usprawiedliwiając się listownie, że przyjechać nie może. Bywałem i ja nieraz na tych zebraniach u Stefana, ale mając mniej wolnego czasu, nie zawsze dotrzymywałem im towarzystwa. Stefan miał doskonałą piwnicę, więc przy pogadance nieraz dobrze kurzyło się z czupryny, a wtedy kochany nasz gospodarz opowiadał swoje ciekawe myśliwskie przygody i wesołe dykteryjki, w których zawsze był niewyczerpanym.

„Kochany Michałku — mawiał wtedy do aptekarza — jaka to szkoda, że nie jesteś myśliwym, poznałbyś sam i doświadczył nie jednego!“

Gdyśmy tak raz przerwawszy wista z proboszczem przy kieliszku dobrego węgrzyna się zabawiali, zaczął Stefan wmawiać w aptekarza, że jeszcze i on myśliwym być może i obiecał wykierować go na nemroda. Panu Michałowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać, zwłaszcza, że opowieści Stefana oddawna obudziły w nim do myśliwstwa zapał, z którym dotąd się taił, więc aż uściskał Stefana za jego propozycyę.

„Toż ja — panie tego — oddawna tego pragnę, ale bałem się, że mnie wyśmiejesz i nie śmiałem sam proponować...

Na to Stefan kazał podać kieliszki największego kalibru, które wychyliliśmy wszyscy duszkiem na pomyślność nowego brata w św. Hubercie...

Po tym pierwszym toaście nastąpił drugi i trzeci... i do późnej nocy słychać było tylko brzęk kieliszków i wesoły gwar naszej rozmowy. W końcu zaczęliśmy śpiewać, proboszcz podniósł się i pięknym barytonem zaintonował „Oj ne chody Hryciu...“ a my wszyscy wtórowaliśmy, jak który umiał. To pewna, że najgorzej fałszował aptekarz, przytem wymachiwał ręką tak zapalczywie, że zawadziwszy rękawem strącił ze stołu i stłukł dwa pamiątkowe kieliszki. Potem rzucił się gospodarzowi na szyję i przepraszał go za swoją niezręczność. Spojrzawszy wtedy na pana Michała, poznałem, że nasz poczciwy „panie tego“ dobrze był już ululany. Naszą biesiadę zakończyliśmy tradycyjnem „kochajmy się!“ a choć wszyscy inni trzymali się jako tako, aptekarz był już całkiem „gotów“ i to jedno tylko pamiętał, że jest myśliwym, chciał nawet koniecznie zaraz iść na polowanie, płakał i prosił Stefana, aby mu dał strzelbę... Potem uspokoił się, a odprowadzony przez nas gremialnie do łóżka, zasnął wkrótce snem sprawiedliwego. Tak się odbył akt pasowania pana Michała na myśliwego.

Odtąd ile razy aptekarz przyjechał do Ryniowiec brał od Stefana lekcye składania się i obaj strzelali w parku do tarczy. Po pewnym czasie, gdy rezultaty strzałów pana Michała były już dość zadowalające, kazał mu Stefan strzelać do ruchomych przedmiotów, jak do krążka rzucanego po ziemi, potem do wron, srok, a w końcu kupił mu we Lwowie lankastrówkę kal. 16 ze wszystkimi przyborami. Wkrótce potem nadarzyła się panu aptekarzowi sposobność nabycia psa legawego, którego do apteki przyprowadził kolonista z przedmieścia. Był to pies młody, maści białej w bronzowe łaty, panu Michałowi podobał się na pierwszy rzut oka, więc po kilku udałych próbach aportowania chustki i warowania przed kawałkiem chleba, kupił bez wahania „Nerona“, bo takie było jego miano. Nero zaaklimatyzował się prędko w aptece, gdzie mu wszyscy dogadzali i karmili samymi przysmakami. Był to piesek bardzo miły i wesoły, wprawdzie ogon miał może trochę za gruby, sierść za długą, a uszy za krótkie, bądź co bądź jednak był wyżłem, bo czy słyszał kto, aby jaki Nero wyżłem nie był? Miał też węch niewątpliwie dobry, bo zawsze zwietrzył, gdzie schowali pieczeń z obiadu i umiał się do niej dobrać, wiedział doskonale co smaczne, a czego łasować nie warto. Najwięcej kłopotu z tym wyżłem miała Józefowa i czasem dostało mu się od niej dobrze po skórze, zwłaszcza raz, gdy poturbował jej ulubioną czubatą kaczusię. Ale te skarcenia rzadko się trafiały i zawsze tylko w nieobecności pana, bo jak pan był w domu, pieskowi wszystko było wolno.

Nadeszło pogodne i suche lato, a pan aptekarz codzień prawie zarzuciwszy strzelbę na ramię wyruszał z Neronem w kierunku Ryniowiec. Nero na tych wycieczkach bawił się doskonale i używał niczem nie krępowanej swobody, a ze wszystkiej spotykanej zwierzyny najlepiej lubiał skowronki, za któremi długie odbywał gonitwy. Pan Michał wychodził więcej dla spaceru i edukacyi Nerona, niż dla polowania, choć nieraz po drodze strzelał do wrony lub sroki. Trafiało się, że zbarczona wrona uciekała piechotą, przeraźliwie kracząc, to już był dla psa szczyt zabawy, w podskokach przypadał wtedy do biednej wrony, atakował ją i naszczekiwał jak ogary dzika, aż zwykle jakiś chłopak, pasący bydło w pobliżu, kładł koniec całej zabawie i dobiwszy batem nieszczęśliwe wronisko, do domu zabierał.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie... przepiórka!

Pewnego razu Nero uganiając za skowronkiem przez dworski łan owsa, wypłoszył przepiórkę, która zapadła w sąsiedni pomiarek pszenicy. Pan aptekarz marzył oddawna o ubiciu przepiórki, więc przywołał zaraz Nerona do nogi i ruszył ku owemu pomiarkowi pszenicy. Wpatrzony w miejsce, gdzie przepiórka zapadła, nie uważał nawet, że dwoje pochylonych nad sierpami ludzi żęło pszenicę na drugim końcu pomiarka. Po chwili zerwała się przepiórka prawie z pod samych nóg pana Michała, co tak go zelektryzowało, że prawie razem z obu luf wypalił. Przepiórka padła jak piorunem rażona, ale równocześnie rozległ się od strony żeńców przeraźliwy krzyk... Pan Michał struchlał i poskoczył w kierunku głosu na ratunek, ale nim dobiegł już opodal wysunął się z pszenicy sążnisty chłop z kosturem w ręku. — „Gwałtu! żinku zabyw?“ — krzyczał chłop i dorzucił jeszcze kilka wcale nie salonowych epitetów dla naszego nemroda. Z wypaloną strzelbą w ręku stał aptekarz jak skamieniały ze strachu, oczekując natarcia chłopa, którego groźna postawa złe zdradzała zamiary, a tymczasem z oddali dolatywał do jego uszu głośny płacz ofiary jego nieostrożności.

Więc żyje jeszcze — przemknęło mu po głowie — i może uda się ją uratować... Wtem stało się coś nadzwyczajnego.. chłop poznał aptekarza, który niedawno dał mu dobrą maść na liszaje i odrazu złagodniał. Skrobiąc się w głowę, zaczął narzekać, że babę trzeba będzie teraz do doktora zaprowadzić i leczyć, a tu nie ma zkąd. Pan Michał uradowany tym pomyślnym obrotem rzeczy, sięgnął do pugilaresu i wcisnął w rękę Wasyla, którego także poznał, papierek 10-reńskowy. Żaden balsam nie działa tak szybko, jak na Wasyla podziałał widok tej zmiętej dziesiątki, zdjął kapelusz, pocałował pana aptekarza w rękę i zawołał na żonę, która tymczasem także się uspokoiła. Pokazało się, że baba dostała tylko jeden śrut w sam nos, skąd krew po kropelce się sączyła. Nos widać był twardy, bo śrut pod skórą został i pan aptekarz własnoręcznie go wycisnął. Ot skończyło się na opuchnięeiu nosa i tyle... Wasyl i jego żona pocałowali raz jeszcze pana aptekarza w rękę i sprawa była załatwiona. Wtedy dopiero przypomniał sobie pan Michał o przepiórce i zawrócił, aby jej poszukać. Uszedłszy zaledwie parę kroków, ujrzał opodal zadyszanego Nerona i tuż przed nim leżącą przepiórkę. Poczciwy piesek wyszukał ją i czekał na pana, wtedy nasz myśliwy zapomniał zupełnie o przykrej przygodzie i zaczął głaskać i pieścić Nerona, chwaląc go za jego dobry węch i spryt. Niestety, przepiórka rozbita strzałem i potargana przez Nerona. przedstawiała prawie bezkształtną masę, którą pan Michał nie bez trudności, ale zawsze do torby przytroczył i z powrotem do domu ruszył.

Odtąd pan Michał na polowaniach był ostrożniejszym i przed każdym strzałem oglądał się w około, czy gdzie ludzi niema. Parę razy jeździł do Ryniowiec i polował ze Stefanem na przepiórki. Niestety, Nero, który tak dzielnie się spisał przy pierwszej przepiórce, nie robił teraz żadnych postąpów, mimo towarzystwa znakomitego wyżła „Bekasa“. Raczej przeszkadzał, niż pomagał przy szukaniu, sam niczego nie wystawiał i uganiał za wszystkiem, co się zerwało. Raz nawet, gdy Bekas wystawił stadko kuropatw, Nero wpadł mu na kark i porozpędzał kuropatwy na cztery wiatry, nie dając myśliwym przyjść do strzału. Stefan, który od dłuższego czasu krzywem okiem patrzył na Nerona, teraz stracił cierpliwość do reszty i prosił pana Michała, aby jak drugi raz przyjedzie, zostawił w domu tego „kundysa“.

Ta zła opinia o zdolnościach i pochodzeniu Nerona dotknęła trochę aptekarza, który też nie chcąc rozłączyć się z ulubieńcem, przez dłuższy czas nie pokazywał się w Ryniowcach, później znów prowizor zachorował, więc pan Michał nie mógł wydalać się z apteki i tak przeciągnęło się aż do późnej jesieni. W połowie października przysłał Stefan przez furmana bilet z zaproszeniem „na zajączki“ i z następującym przypiskiem: Nerona nie przywoź, bo popsuje nam całe polowanie.

Wahał się z początku pan Michał czy jechać, ale zapał myśliwski przemógł, kazał Nerona zamknąć w kuchni i przy akompaniamencie żałośnego wycia, które mu krwawiło serce, pojechał.

W Ryniowcach polowali z wyżłem po polach, a rezultat był dla naszego nemroda nadzwyczaj świetny, bo ubił dwa zające. Wieczorem przy wiście oświadczył gospodarz, że zaprasza pana Michała na dzień 1 grudnia na polowanie z nagonką, bo właśnie otrzymał list od swego kuzyna N. z Wołynia, że zjedzie do niego na parę dni z końcem listopada i chciałby trochę zapolować. Knieja ryniowiecka słynęła w okolicy z pięknego zwierzostanu, więc też nasz „Panie tego“ niezmiernie się ucieszył, otrzymawszy to zaproszenie i w wesołym humorze powracał do domu.

Z niecierpliwością wyczekiwał pan aptekarz terminu polowania, przygotowywał się na nie z całem namaszczeniem i z nadzwyczajną skrupulatnością porobił ładunki podług przepisu Stefana. W ciągu listopada nigdzie już nie wyjeżdżał z domu, bo i czas był taki, że jak to mówią: „psa by nie wygnał z chaty“, zimno i wietrzno, deszcz na przemian ze śniegiem, ot zwyczajna jesienna szaruga. Ale na cztery dni przed terminem zapowiedzianego polowania nagle zmieniła się aura, najpierw mróz chwycił, a nazajutrz śnieg sypnął i padał bez przerwy całą dobę. Dzień przed polowaniem, zaraz popołudniu, przysłał Stefan proste sanie po mnie i po aptekarza, donosił nam, że kuzyn z Wołynia przyjechał i prosił, abyśmy się nie spażniali. Zebrawszy do kuferka potrzebne manatki i strzelbę do futerału, zajechałem przed aptekę, gdzie już czekał na mnie aptekarz, ubrany i gotów do podróży. Wyekwipowany był wspaniale, wszystko na nim nowe, krótko mówiąc, myśliwy jak z żurnalu. Licho nadało, że gdyśmy wsiadali do sanek, pani Józefowa wyszła na ganek i życzyła nam szczęścia na jutrzejszem polowaniu. Baba nie wiedziała, widać, że myśliwemu szczęścia życzyć nie wolno, pan Michał był trochę zabobonny, więc też odrazu posmutniał, nie odpowiedział nic i kazał furmanowi ruszać. Konie ruszyły z kopyta, a niekute sanki szybko i gładko mknęły po puszystym śniegu, ja zaś chcąc udobruchać aptekarza, zacząłem mu prawić o pięknej ponowie i widokach na jutrzejsze polowanie. Zanim ujechaliśmy połowę drogi, pan Michał rozweselił się i o złej wróżbie zapomniał.

W Ryniowcach zastaliśmy już krlku dalszych sąsiadów i owego pana N. z Wołynia. Gospodarz wesół był, cieszył się ponową i widać było po nim, że pewny dobrego rezultatu na jutrzejszem polowaniu. Wspomniał nam, że dzików — które zresztą w Ryniowcach rzadko się pojawiały — nie ma, ale jutro do dnia leśniczy będzie jeszcze tropił i ma zdać raport przed polowaniem. Przy kolacyi Wołyniak opowiadał dziwa o tamtejszych polowaniach, a najwięcej o dzikach. Nie dawniej, jak ostatniej zimy miał przeprawę z odyńcem, który ciął mu dwa najlepsze psy, a potem mimo dwu celnych strzałów z expresa, szarżował jeszcze na niego, uderzeniem ryja zwalił go na ziemię, a nim zdołał się pozbierać, machnął szablą po berlaczu i rozpruł go od podeszwy aż do kolana. Nie skaleczył go jednak, bo widać nie miał już siły, zresztą kto wie, coby się było stało, gdyby nie poczciwy Zagraj, który odyńca chwycił za szarawary. Pan N. pokazywał nam nawet ów historyczny berlacz, który kazał zeszyć i nie rozłącza się z nim, bo „zdybny“.

Około 11. napędził nas gospodarz do łóżka, obiecując, że spać długo nie da. Spałem w pokoju Stefana i raniutko zbudziła mnie jakaś szeptem prowadzona rozmowa koło jego łóżka. Przetarłszy oczy, poznałem starego Dziuganowskiego, więc podniosłem się na łóżku i zapytałem, co tam nowego przynosi.

— Proszę pana — odpowiedział leśniczy — są dziki; otropiłem cztery sztuki w „Kalinowym łęgu“, przyszły w nocy ze Studłowa. Jedna duża sztuka i trzy mniejsze.

Wiadomość tak jak prąd elektryczny podziałała na mnie, o spaniu nie było już mowy i zacząłem się ubierać.

— Nie umiem ci opisać — dodał Stefan — jak mnie to cieszy, że mamy dziki, będzie zabawa, co się zowie. Plan polowania musimy zmienić i pierwszy miot weźmiemy

na dziki. Znasz położenie „Kalinowego łęgu“, obstawimy tak, że dziki wyjść muszą!“

Po chwili Dziuganowski wysunął się z pokoju, aby wydać potrzebne zarządzenia a my poszliśmy na kawę i pobudziliśmy innych towarzyszy. Rozbudziłem aptekarza i szepnąłem mu, że są dziki, jednak zauważyłem, że ta wiadomość zamiast go ucieszyć, niemiłe na nim wywarła wrażenie, mówił, że się dzików nie spodziewał i nie wziął kul, więc obiecałem, że mu kilka ładunków pożyczę.

W godzinę zjechała się już cała nasza drużyna i wnet potem wyruszyliśmy do kniei. Ponowa była prześliczna, mrozik mały i bez wiatru więc i humory myśliwych były nadzwyczajne, ale nim dojechaliśmy na miejsce, gospodarz nakazał zupełną ciszę. Wkrótce sanie się zatrzymały, a ja odszukawszy aptekarza, wsunąłem mu w rękę cztery ładunki, poczem ruszyliśmy gęsiego za Stefanem. Najpierw obstawił gospodarz najważniejszą flankę, potem linię główną, a na drugą flankę, którą zwykle uważaliśmy za „straconą“ wyszedł sam z aptekarzem.

Panu Michałowi przypadło w udziale stanowisko na pagórku, skąd wzrokiem ogarniał sporą część miotu, Stefan poszedł aż pod nagonkę, aby tego skrzydła pilnować. Stanąwszy na tem pierwszem w swem życiu stanowisku, pan aptekarz rozejrzał się wokoło. Stał na ścieżce zajęczej, wszędzie, gdzie spojrzał, pełno było tropów, a opodal przed nim zarysowywał się mały jarek, który zniżał się i pogłębiał ku środkowi miotu. „Kalinowy łęg“ był to gęsty, kilkoletni zaledwie zapust, przeważnie brzozowy. Obejrzawszy się poza siebie zobaczył pan Michał nie dalej jak o trzysta kroków karczemkę i dalej chaty Studłowa. Widać jednak, że myśl naszego myśliwca wracała do owego wołyńskiego operatora berlaczów, bo oko mimowoli szukało jakiegoś wyższego drzewa, jakby schronienia przed odyńcem... Niestety, nigdzie nie było widać drzewa lub choćby drzewka, na które w potrzebie wdrapaćby się było można. Stał więc aptekarz smutny i ponury, prawie bezradny i wpatrywał się w ów jar przed sobą. Wtem na przeciwległej flance padł strzał jeden i drugi, poczem zaległa cisza... panu Michałowi serce żywszem uderzyło tętnem, ściskając kurczowo strzelbę w ręku wpatrywał się w gąszcz, ale niczego dojrzeć nie mógł. Po chwili zdawało mu się, że słyszy jakiś dziwny szelest, potem jakby odgłos stąpania, wreszcie tam w głębi jaru zamajaczyły ciemne kontury, a w miarę jak się posuwały ku stanowisku aptekarza, stawały się coraz wyraźniejsze, panu Michałowi włosy dębem stanęły na głowie a ręce drżały jak liście osiki — to on, odyniec — przemknęło mu głowie...

I nie omyliło go przeczucie, bo nie dalej jak na sześćdziesiąt kroków przed nim wysunął się z parowu wspaniały odyniec, a za nim trzy warchlaki. Odyniec stanął na połeć i zwrócił się w stronę nagonki — jakby nasłuchiwał.

Aptekarz struchlał, ale zebrawszy resztę przytomności, podniósł strzelbę ku twarzy, nie mierzył wcale do dzika, bo i na co bestyę zaczepiać, ale chciał strzelić tak w powietrze, aby dziki przestraszyć Drżącą ręką sciągnął cyngiel, ale dało się słyszeć tylko głuche kłapnięcie, nabój nie wypalił... Wtedy dopiero biedny pan Michał przypomniał sobie, że strzelby wcale nie nabił, prawą ręką sięgnął po ładunki, ale torby otworzyć nie zdołał, spojrzał na dziki — stały jeszcze w tem samem miejscu tylko odyniec zwrócił się teraz na sztych i błysnął szablami, aptekarzowi zdawało się nawet, że go dzik mierzy swoim strasznym wzrokiem. Wtedy ogarnęło go jakieś dziwne uczucie lęku, graniczące niemal z rozpaczą, uczuł się opuszczonym, bezbronnym, wydanym na pastwę dzikiej bestyi. Dzik widzi go już i lada chwila rzuci się na niego a wtedy wszystko przepadło... Jakto? więc ma umierać tak młodo, ginąć bez ratunku i dlaczego? dla głupiego dzika! A gdyby tak spróbować ucieczki... karczemka niedaleko, byle zbiedz ze sto kroków z pagórka, a stamtąd już do wsi i do ludzi niedaleko i można zawołać o ratunek. Myśli tej chwycił się aptekarz jak ostatniej deski ratunku i obróciwszy się na pięcie rzucił się do ucieczki... Jakaś niewidzialna siła popychała go naprzód, pędził więc bez wytchnienia, a że wyładowana torba uderzała go po boku i tamowała ruchy więc zerwał ją przez głowę i od siebie odrzucił i pędził dalej ile mu sił starczyło, nie zważając na nic, nawet na to, że tam za nim coraz częściej padały strzały i coraz wyraźniej słychać było nawoływania nagonki; cała myśl jego zaprzątnięta była własnem ocaleniem, przed sobą widział coraz bliżej zbawczą karczemkę, za sobą ciągle jeszcze czuł kły odyńca... i biegł dalej. Pot kroplisty spływał aptekarzowi z czoła, gdy po tej szalonej gonitwie po głębokim śniegu dotarł wreszcie do karczemki; wtedy dopiero odważył się obejrzeć poza siebie. Dzików ani śladu, głosy nagonki ucichły, przed karczemką stały sanie znajomego mu i w sąsiedztwie mieszkającego Moszka, który przywiózł do Studłowa doktora i wracał do domu. Pan Michał nie namyślając się wskoczył do sani i kazał jechać. Żyd popędził konie, ale co chwila zerkał z ukosa na swego pasażera, bo poznał, że pan aptekarz jakoś nienaturalnie wzburzony i cały potem oblany. Wreszcie zdecydował się zapytać:

— A skądto wielmożny pan aptekarz wziął się tutaj w Studłowie i taki zmęczony i spocony, aj, jaj!

— A ciebie co to — panie tego — obchodzi, jedź i kwita! — odburknął pan Michał, ale naprawdę to pytanie żyda przywróciło go do przytomności, otrząsł się z tego dziwnego uczucia przestrachu i odrazu poznał całą grozę położenia. Co też on najlepszego zrobił, nic więcej, tylko uciekł z polowania, jak tchórz ostatni umykał przed dzikiem, mimo, że miał strzelbę w ręku — a cóż sobie o nim pomyślą ci inni myśliwi? Skompromitował się tak strasznie, że nie będzie śmiał teraz ludziom spojrzeć w oczy, trzeba mu było tych polowań – jemu, aptekarzowi! Poczciwa Józefowa zawsze mu odradzała, ale on nie słuchał — ma teraz czego chciał. A gdyby tak zawrócić? możeby jeszcze dopędził myśliwych, ale nie to już zapóźno, zapóźno, zresztą coby im powiedział? naraziłby się tylko na śmiechy i urągowisko. Ha, stało się... trzeba wracać do domu, udać, że mi się nagle słabo zrobiło, zachorowałem, no i musiałem odjechać do domu, o dzikach może się nie dowiedzą, bo zresztą nikt nie widział, że na mnie wychodziły...

Te i tym podobne myśli kotłowały w biednej mózgownicy pana Michała, gdy wreszcie znalazł się przed drzwiami apteki. Wcisnąwszy Moszkowi guldena w rękę, wsunął się pan Michał przez kuchnię do swego pokoju. Nerona, który wybiegł na spotkanie pana, kopnął tak, że biedne psisko skowycząc schowało się w najciemniejszy kąt pokoju; Józefową, która zapytała dlaczego tak wcześnie powrócił z polowania, zwymyślał za to, że się wtrąca do nie swoich rzeczy, strzelbą rzucił, że omal nie poszła w kawałki, jednem słowem był wściekły. Jakiś czas chodził jeszcze wielkimi krokami po pokoju, potem kazał sobie pościelić i przynieść gorącej herbaty. Rozebrał się i położył do łóżka — wzburzone nerwy potrzebowały wypoczynku...

Gdy to się działo w aptece, tymczasem my bawiliśmy

się doskonale. Dziki spłoszone przez aptekarza zawróciły i wyszły na linię, odyńca pięknym strzałem rozciągnął Bronisław Sł., a dwa warchlaki w dublecie Wołyniak. Oprócz tego padły w „Kalinowym łęgu“ dwa rogacze i pięć zajęcy. Stefan, który podchodził z nagonką, zdziwił się niezmiernie, gdy na stanowisku aptekarza nikogo nie zastał, nawoływał, szukał, wreszcie po śladach, prowadzących w pole poznał, że pan Michał poszedł w kierunku Studłowa, ale po co, dlaczego? — w głowie mu się pomieścić nie mogło. Ale sprytny pobereżnik Ołeksa wszystko od razu spenetrował. Pokiwał głową, przyjrzał się szerokim i nierówno stawianym krokom i szepnął panu do ucha:

— Proszu wielmożnoho pana, widaj pan aptykar napudyły sia dykiw, taj utekły!

— Co ty pleciesz, alboż tu były dziki?

— A bihme buły — ot nema jak sorok krokiw w tim zwozi taj zwidtam zawernuły na łeniu!

Stefan poznał, że Ołeksa ma racyę, więc nie oponował dłużej, ale nakazał mu, aby o tem przed nikim nie mówił i choć sam byłby z gustem wsypał sto bizunów aptekarzowi, nie chciał dopuścić, aby inni myśliwi wzięli go na języki i ułożył sobie na prędce bajkę, że aptekarz nagle zachorował, więc musiał go odesłać do domu. Swoją drogą wyprawił Ołeksę do karczmy studłowskiej i kazał mu dowiedzieć się, co się stało z aptekarzem. Tak więc sprawa ucieczki aptekarza na razie się zatarła, choć Wołyniak coś kręcił nosem i uśmiechał się pod wąsem.

. . . .

Przykry ten wypadek z dzikami wywarł na naszego aptekarza tak silne wrażenie, że zarzucił zupełnie polowanie i na zawsze wyrzekł się myśliwstwa, nikt też później w aptece strzelby nie widział a nawet w rozmowie pan Michał unikał starannie wzmianki o polowaniu. Wogóle zmienił się do niepoznania, ten człowiek, tak towarzyski, zaczął stronić od ludzi i nigdzie się nie pokazywał. Wrócił do swoich wędek i motyli i do... kręcenia pigułek.

Nero, jakby odczuwając zmianę w usposobieniu pana zatracił w sobie z czasem wszelkie znamiona i zalety wyżła, sierść mu jeszcze bardziej zgrubiała, kudłaty ogon zakręcił się ku górze, z łagodnego stał się złośliwym, jednem słowem kundys wziął górę nad legawcem i długie jeszcze lata pełnił służbę stróża na podwórzu.

W kilka lat później aptekarz ożenił się i popełnił straszliwy mezalians -- ot, jak to bywa w starokawalerskim stanie... ale mniejsza o to, skoro „Panie tego“ był i jest szczęśliwy.

Leopold Łysakowski.

KORESPONDENCYE.

Buczacz w czerwcu.

[Kłusownictwo.]

Do rozlicznych plag, jakie kraj nasz w ogólności i poszczególne powiaty nawiedzają rok rocznie, należy też kłusownictwo, które wytępia zwierzynę leśną i ptactwo bez względu na porę roku i jej rodzaje w przerażający sposób. Powiat nasz liczy tych szkodników nie na dziesiątki, ale na setki. Centralnem siedliskiem kłusownictwa jest miasteczko Monasterzyska. Tam to stanowią oni zorganizowaną bandę, która nie tylko że wytępia przy pomocy oficyalistów właściciela Monasterzysk w całem tegoż terytoryum zwierzynę i ptactwo, ale nadto zapuszcza swe zagony w sąsiednie rewiry i pola za nieprawną zwierzyną. Do licznej drużyny kłusowniczej monasterzyskiej zaliczyć można w pierwszym rzędzie handlarzy świń, którzy nawet polowania w ościennych gminach wydzierżawiają, za dość wysokie czynsze, ażeby tylko mogli upozorować czemś swoje bezpłatne zapędy. To też wdzięczność należy się Towarzystwu łowieckiemu, że na ostatnim zjeździe postanowiło prosić władze, aby surowo karały kłusowników i by na przyszłość obostrzyły wydawanie licencyi na polowania. Może też i teraźniejszy starosta p. Niewiadomski, znany z energii i sprężystości, położy tamę kłusownictwu w buczackim powiecie, a szczególnie w Monasterzyskach i okolicy.

Rożubowice 27. maja.

[Stan zwierzyny]

W okolicy: Przemyśl, Medyka, Niżankowice, Olszany, przezimowała zwierzyna dobrze, tylko koło Byliniec i Rokszyc zginęło kilkanaście sarn na wiosnę z niewiadomej mi przyczyny. Pierwsze zajączki (marczaki) dobrze się utrzymały i są już ładnymi półzajączkami, czy późniejsze słota i ulewy ich nie wymordowały — jeszcze nie wiemy.

Młodych sarniąt bardzo mało dotychczas widać i jest pewnem, że wiele starych siut chodzi jałowo.

Kuropatwy gnieżdżą się tego roku przeważnie w ozimінach, bo te prędzej dały schronienie jak koniczyny, które długo trzymały się przy ziemi, toż byłaby dobra na nie nadzieja, jeżeli słoty nie zaleją gniazd. Przepiórek więcej jak zeszłego roku. Derkaczy mnóstwo, przeważnie w polach, co oznacza słotny rok.

Kazimierz Zbyszewski.

Kronika.

Ilość zastrzelonej na Szląsku zwierzyny w r. 1896 wynosi: 199 sztuk dziczyny czerwonej, 3 sztuki danieli, 2 580 sarn, 26 822 zajęcy, 459 królików, 16 głuszców, 798 bekasów, 19 jarząbków, 178 dzikich gołębi, 2.853 bażantów, 21.204 kuropatw, 483 przepiórek, 798 bekasów, 16 dzikich gęsi i 1.914 dzikich kaczek. — Szkodliwego zwierza zabito: 547 lisów, 312 kun, 135 tchórzów, 27 wydr, 5 dzikich kotów, 1.546 wiewiórek, 27 borsuków, 333 łasic, 5 orłów, 18 puhaczy, 2.358 jastrzębi, krogulców, sokołów i myszołowców tudzież 416 sów. Jesteśmy pewni, że ta statystyka nie jest dokładna, bo oprócz strzelców i leśniczych, którzy zapisują sobie każdą zastrzeloną sztukę, dużo jest takich, którzy nie zgłaszają zastrzelonej zwierzyny, chyba, że żandarm od czasu do czasu jedną lub drugą sztukę do sądu zgłosi.

Zemsta sowy. P Herman Kościa ogłasza: W dniu 16. b. r. w miasteczku Brańsku, gubernii grodzieńskiej, między godz. 9 a 10 wieczorem w noc księżycową przechodziłem koło cmentarza kościelnego, okolonego staremi drzewami, idąc do probostwa, gdy w tem koło furty kościelnej uczułem gwałtowne uderzenie w głowę tak, że wydawszy okrzyk: „Co to jest“ — o mało nie upadłem. Chwyciłem się za głowę, kapelusza nie było, ból tylko silny czułem i krew po twarzy mi płynęła. Szukałem kapelusza napróżno. Sądząc, że może z po za muru ktoś rzucił kamieniem lub uderzył mię przez furtę, wszedłem na cmentarz, ale i tam nikogo nie było. Na mój krzyk nadbiegł ktoś ze służby probostwa. A kiedy opowiedziałem mu o wypadku, odparł: „To sowa rzuca się na ludzi gdyż wybrano jej z gniazda młode“. — Na probostwie obmyto mi głowę ze krwi, ból jednak czułem silny, a wezwany lekarz dostrzegł na głowie kilka zadraśnień pazurami i jedno dłuższe i głębsze. Obecni na probostwie panowie, nie wierząc memu opowianiu, wybiegli, lecz wróciwszy po chwili oświadczyli, że sowa i na nich się rzucała, i przynieśli małe sowiątko wyrzucone do ogrodu. Na drugi dzień kapelusz odnaleziono w ogrodzie o kilka set kroków od miejsca gdzie był zdarty, druga zaś sowa pisklę owe odprowadziła w odleglejszy kąt ogrodu, znosząc mu pożywienie, t. j. myszy. Następnie zabito małe sowiątko, aby sowa znów nie rzuciła się na kogo. Sowa ujrzawszy zabite pisklę, zaczęła piszczeć, wydawała jęki i formalnie płakała. Liczę lat 74, lecz ani ja, ani inni, którzy to słyszeli, nie pamiętają podobnego zdarzenia. — Niech więc będzie to przestrogą, że i biednym ptakom nie należy czynić krzywdy; zemsta ich mogła fatalne, mianowicie dla oczu, mieć skutki.

Trzebienie królików w Australii. Rząd Nowej Południowej Walii jest teraz bardzo zaniepokojony niezwykłem rozradzaniem się królików na tej części kontynentu australskiego. Następujące cyfry mogą dać wyobrażenie o tej pladze australskich osadników. Oto w ciągu trzech lat od r. 1892 do 1894 wytrzebiono w okolicy jednej tylko osady 4,723.000 królików, a koszta tego trzebienia wynosiły 5764 funtów szterlingów (blisko 80000 zł.) Pomimo tego króliki rozmnażały się wciąż w zastraszający sposób, bo np. w roku ubiegłym ubito ich w tej samej osadzie około półtrzecia miljona, co kosztowało właściciela 1732 f. szt. (więcej niż 20.000 zł.) Właściciel owej osady ubożeje z każdym rokiem, coraz bardziej, gdyż zwierzątka te okazują się taką samą plagą elementarną jak posucha, zaraza lub szarańcza. Jeden z farmerów tak opisuje szkodliwość królików:

„Kiedy króliki po raz pierwszy pokazały się w pobliżu mojej osady, miało jeszcze moje bydło podostatkiem paszy i wody. W dwa lata potem nie było już paszy jak tylko na 50.000 owiec. Nająłem więc ze stu ludzi, których jedynem zadaniem jest strzelać, łowić, wykopywać i wogóle wszelkimi możliwymi środkami niszczyć króliki Wydatki na ten cel wynosiły rocznie 7—8000 f. szt. (do 84 000 zł.), a koniec końców ich rezultat równał się zeru! Nietylko bowiem nie mogliśmy zmniejszyć liczby królików, ale nawet nie byliśmy w stanie zapobiedz ich dalszemu rozmnażaniu się. A było ich już pełno wszędzie. Zjadały i niszczyły trawę na łąkach, dostawały się do sadów, gdzie ogryzały korę drzew owocowych i niszczyły wszystkie inne drzewa dające cień owocom. Podkopywały obwałowania wodnych rezerwoarów, mieszkania i nawet pod kuchniami miały setki nor. Chwyciłem się wtedy innego sposobu: zacząłem ogradzać swoją ziemię drucianemi siatkami. Robiło się to jednak bardzo powoli z powodu wielkich rozmiarów mojej posiadłości. Dziś mam ogrodzenie 350 angielskich mil długości, a kosztuje mnie ono 14 000 f. szt. (168 000 zł.) Skoro tylko nastały skwary, króliki jak zwykle chciały się rozbiedz po okolicy, lecz nie mogąc przedostać się przez siatkę, musiały zostać i masami ginęły wskutek spiekoty. W ten sposób. powoli ogradzając coraz dalsze przestrzenie, wytępiłem ze 100.000 królików. Otaczaliśmy także duże miejsca dla bydła siatką, ustawiając w tej samej linii co ich rezerwoary z wodą także koryta z zatrutą wodą dla królików. Spragnione króliki przyzwyczajone pić zawsze tam, gdzie nasze bydło, przychodziły tysiącami i truły się. A przecież nie jestem w stanie wytępić ich zupełnie! Skoro bowiem tylko na pewien czas zaprzestanę tej obrzydliwej masakrady, wnet zjawiają się w tak wielkiej liczbie jak poprzednio“.

Obecnie rząd sam stara się o zaprowadzenie wszędzie takich ogrodzeń z drucianej siatki. Naturalnie jest to połączone z wielkimi kosztami, które tylko w części opłacają się transportem mięsa króliczego do Anglii. Mięso to transportuje się w stanie mrożonym i ma dość wielki zbyt.

Ponowne wyrośnięcie nogi u ptaka Wiadomo, że u niektórych płazów odrastają utrącone kończyny, jak nogi lub ogon. Przyrodnicy zauważyli, że coś podobnego może się dziać i u ptaków, ale są to niesłychanie rzadkie wypadki. Owóż pewne angielskie pismo przyrodnicze opowiada o takim wypadku, który się miał zdarzyć niedawno. W dwóch klatkach, przedzielonych tylko ścianką drucianą, przebywały czyżyk i sroka. Sroka znęcała się nad czyżykiem, wsuwając swój dziób do jego klatki; przy jednym takim ataku urwała mu nóżkę w tem miejscu, gdzie zaczynają się oddzielać palce. Złośliwą srokę usunięto z sąsiedztwa czyżyka, a kulawe ptaszę skakało sobie na jednej nóżce. Powoli druga nóżka zaczęła wydłużać się, a na jej końcu pokazała się narośl wielkości grochu. Z narośli tej w przeciągu siedmiu miesięcy rozwinęły się palce i w ten sposób utworzyła się druga nóżka, którą czyżyk posługiwał się z początku bardzo ostrożnie, póki jej zupełnie do chodzenia i podskakiwania nie wyćwiczył.

Łacina łowiecka.

Troskliwy ojciec.



— Czemu ty, Jaszu, nie polujesz?

— Bo tata leży pod tę broń i nie pozwoli ruszyć tego karabina.

— Na co czebi karabin, na co ty sobi masz zrobicz co złego. Idź na polowanie, a ja mam na to leśniczy, żeby za czebi strzelał, po co ty masz brać karabin do ręki.

Wytłomaczył się.

(Pan Jakób spotkawszy p. Józefa znanego z niedzielnej pasji myśliwskiej pyta go:)

— Jakżeż poszło polowanie?

— Dobrze!
— Trafiłeś co?
— Naturalnie!
— A dlaczego torba twoja próżna?
— Przecież nie mogłem włożyć do niej naganiaczy!

Bieda z odpoczynkiem niedzielnym.

Strzelec niedzielny (stojąc przed zamkniętym z powodu niedzieli handlem zwierzyny): No, macie! zaprowadzili Bóg wie po co ten odpoczynek niedzielny i człowiek nie może dziś głupiego zająca . . . kupić!!“

Dla jednego zająca!

— Jakże ci się wiodło w tym roku polowanie?
— Pysznie, na ostatniem stanowisku zabiłem 99 zajęcy!
— Czemu już nie powiesz 100?
— Dla jednego głupiego zająca nie będę przecież kłamał!..

(Pana Prawdzickiego z Wymysłowa dziwna opowieść.)

Wybrałem się w podróż do Kujaw i Żmudzi podczas najlepszej zimy, wnioskując niemylnie, że mróz i śnieg, bez przyczynienia się ludzi, sporządzą jak najlepiej drogi, które zwłaszcza na Litwie i na Żmudzi, podług opisu wszystkich niemal podróżujących tam, prawie gorszemi być mają, aniżeli droga wiodąca do świątyni cnoty. Podróżowałem konno — rodzaj ten podróżowania, jeżeli tylko koń i jeździec zarówno na siłach się czują, jest najdogodniejszy, albowiem wtedy nie ulegnie człowiek pokusie zadarcia z jakim słodko — uprzejmym pocztmistrzem o punkt honoru, i uniknie tego, że go spragniony pocztylion od karczmy do karczmy wozić będzie. Ubiór, który na sobie miałem, był lekki: to też, im dalej posuwałem się w strony na wielkim wschodzie leżące, tem bardziej czułem zimno po kościach przechodzące.

Na gołej murawie, po której wiatr ostry od wschodu dął, spotkałem żebraka w podeszłym wieku, zmędzniałego, zziębłego i tak obszarpanego, że mu bez mała wstydliwe części nie wyglądały. Możecie sobie snadnie wyobrazić, jak musi być do smaku człowiekowi, o żebranym chlebie żyjącemu, w stronie świata tak zimnej, w porze roku tak ostrej.

Zlitowałem się nad tym biedakiem i, lubo mnie samemu krew w żyłach od zimna stygła, zrzuciłem ze siebie płaszcz i okryłem nim cierpiącego.

Mniejsza o zimno! pomyślałem sobie i pojechałem dalej, aż mnie noc zaskoczyła. Nigdzie wioski ni widać ni słychać! Śnieg pokrył całą okolicę, wszystkie drogi i ścieżki były zasute.

Znużony jazdą zszedłem z konia i przywiązałem go do ostrego szpica drzewa po nad śnieg wystającego. Dla bezpieczeństwa wziąłem pistolety pod pachę, położyłem się w pobliżu na śniegu i zasnąłem tak głęboko i tak smacznie, żem dopiero o dniu jasnym powieki rozwarł. Jak wielkiem było moje zdziwienie, gdym zbudziwszy się spostrzegł, żem wśród wsi na cmentarzu leżał! Konia mojego zrazu widać nie było, jednak słyszałem nieco później rżenie gdzieś nademną. Kiedym w wyż spojrzał, spostrzegłem, że koń mój uwiązanym był do kurka wieży kościelnej i na nim wisiał. Zaraz się dorozumiałem, jakim to sposobem się stało. Wieś bowiem była przez noc całą śniegiem zasuta; powietrze naraz się zmieniło; we śnie wraz z śniegiem rozpuszczającym się i ja powoli się spuszczałem, a com w ciemności za szpic drzewa nad śnieg wystający poczytał i do czegom konia przywiązał, to okazało mi się teraz być krzyżem albo kurkiem wieży kościelnej.

Nie namyślając się długo, wziąłem jeden pistolet, strzeliłem do uzdeczki i, odzyskawszy szczęśliwie konia, dalej w podróż się udałem.

Potem wszystko dobrze się wiodło, aż gdym do Żmudzi przyjechał, gdzie niemasz zwyczaju zimą konno podróżować. Ponieważ zawsze zasadą moją jest, stosować się wszędzie do obyczajów krajowych, przeto wystarałem się tam o jednokonne sanki i pojechałem w wesołym humorze do Szawełek.

Nie wiem już dokładnie, czy to nad Dubisą, czy nad Szuszawą było, tyle jednak przypominam sobie, że to w gęstym, ciemnym lesie było, kiedym ujrzał wilczysko z zapamiętałością, jaką tylko zimą głód wywołać może, za mną lecące. Wnet mnie dognało; czystem było niepodobieństwem ujść przed niem.

Spłaszczywszy się, położyłem się mechanicznie na sankach, zostawiając koniowi samemu szerokie i chlubne pole działalności dla naszego obopólnego dobra. Czegom się spodziewał, na co jednak ubezpieczać się mało odwagi miałem, to ziściło się nie za długo.

Wilk bynajmniej się nie troszczył o osobę moją, ale skoczył przeze mnie, rzucił się wściekle na konia, wygryzł i połknął naraz całą zadnią część biednego stworzenia, które z przestrachu i bólu tem szparciej biegło. Gdym się w ten sposób niespostrzeżony szczęśliwie ocalił, uniosłem nieśmiało głowy i spostrzegłem z przerażeniem, że wilk niemal cały w konia się wżarł. Jak tylko wilk tak pięknie się uwięził, wziąłem bicz i, korzystając z chwili pomyślnej, zacząłem nim po skórze jego ciąć. Taki napad niespodziewany nabawił go w tym pokrowcu niemałego strachu; z natężoną siłą rwał się naprzód, trup konia padł na ziemię i ot! w miejscu konia miał na sobie szory wilk. Ja z mojej strony nie przestawałem witać wilka biczem i tak cwałem jak największym przybyliśmy zdrowo i cało do Szawełek na niemały podziw widzów.

Nie chcę Was, moi Panowie, nudzić opisem rządu, nauk, kunsztów i innych osobliwości tego miasta; także nie chcę was zabawiać obrazem intryg i pociesznych przygód wyższych towarzystw, w których gospodyni domu przyjmuje gościa całusem i czajem. Raczej wyższe i szlachetniejsze przedmioty mam tu na celu: psy i konie, które nad wszystko w świecie cenię; następnie lisy, wilki i niedźwiedzie, którymi, równie jak inną zwierzyną, natura ów kraj przed wszystkiemi uposażyła, a wreszcie przechadzki, przejażdżki, ćwiczenia rycerskie i świetne sprawy, które szlachcicowi bardziej przystoją, aniżeli trochę stęchłej łaciny lub greczyzny, albo też pachnidła i pierścidła, szmatki i łatki francuskich belletrystów i fryzyerów. [C. d. n.]

Od Wydziału Towarzystwa

Stosownie do wniosku Leopolda hr. Starzeńskiego postawionego na nadzwyczajnem walnem zgromadzeniu członków gal. Towarzystwa łowieckiego, Wydział Towarzystwa uprasza pp. delegatów, aby raczyli dowiedzieć się czy członkowie Towarzystwa, zamieszkali w ich okręgu, mają zamiar sprowadzić w celu rozmnoży żywe kuropatwy i uwiadomili o tem Wydział Towarzystwa, który postara się o to, aby zamówioną ilość kuropatw w jak najlepszym gatunku i jak najrychlej członkom dostawić. O cenie kuropatw dostaną ci członkowie, których nazwiska delegaci Wydziałowi prześlą listami zawiadomieni, jak również o terminie, kiedy imkuropatwy zostaną przesłane. Wydział nawiąże rokowania z hodowcami kuropatw i postara się o jak najszybrze załatwienie wszystkich zamówień. Wszelkie zapytania w tej mierze należy przesyłać do Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego we Lwowie pl. Halicki l. 14.

Korespondencye redakcyi.

Wp. I. Z. w Krakowie. Z powodu nawału materjału pańskiego listu nie mogliśmy w tym numerze umieścić. Tak samo nie umieszczamy jeszcze sprawozdania z walnego zgromadzenia Tow. im. św Huberta, stanie się to w przyszłym numerze.

Wp. A. K. Rawa. Numer 3-ci, którego wyszedł drugi nakład, przesyłamy Wp. równocześnie z bieżącym numerem.

Wp. L. W. w Wólce. Owszem, prosimy! Wszelkie korespondencye są nam bardzo pożądane.

Od Redakcyi.

Prenumeratę na ŁOWCA oraz zaległe wkładki upraszamy przesyłać pod adresem: Galicyjskie Towarzystwo łowieckie we Lwowie pl. Halicki l. 14.

Wszelkie reklamacye, zapytania, oraz listy do redakcyi i administracyi ŁOWCA, należy przesyłać pod adresem redakcyi i administracyi ŁOWCA we Lwowie pl. Halicki l. 14.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego Redakcya „Łowca“: Lwów, pl. Halicki 14. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie, ul. Sobieskiego 16 — pod zarządem Fr. Kattnera.